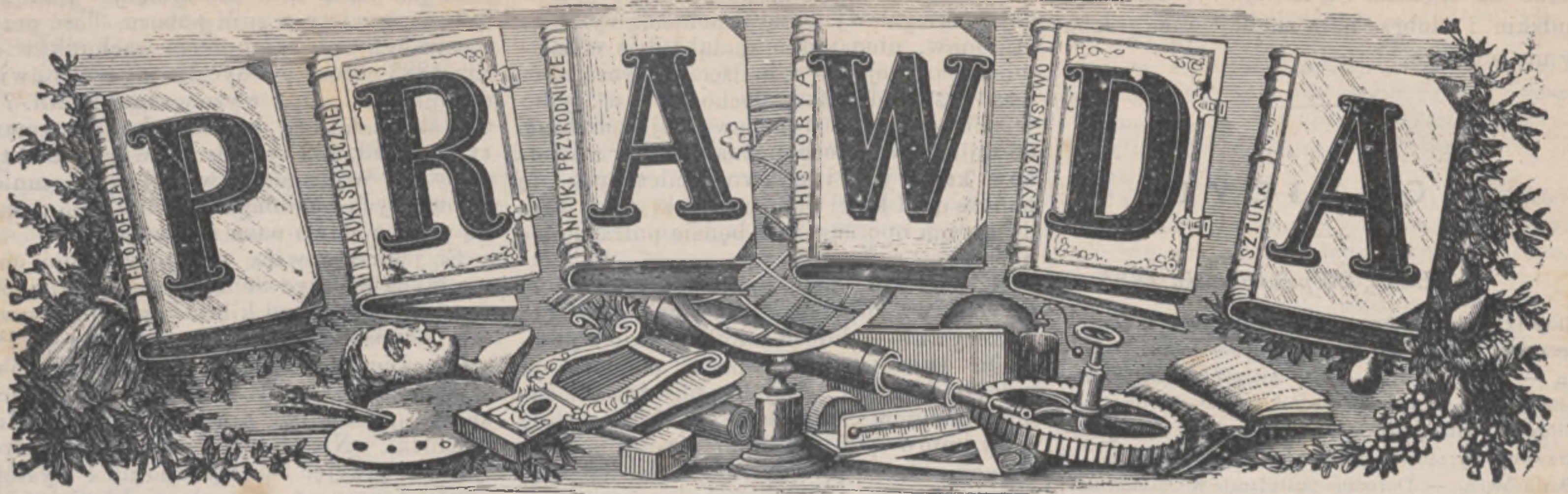
№ 45. Warszawa, dnia 7 Listopada (26 Października) 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

WYBORY PRUSKIE.

Wybory sejmowe w różnych państwach europejskich słusznie rozciekawiają zawsze uwagę ogólną, bo w pewnej mierze zapowiadają kierunek polityki najbliższego okresu. Rok zaś obecny pod tym względem był bardzo zagadkowy, gdyż dwa narody — francuski i angielski — zmieniły swój system wyborczy. Francya już usunęła tę zagadkowość najmniej oczekiwaną niespodzianką, Anglia dopiero się zbliża do urny, która przyjmie o 2 miliony więcej głosów. Pewną wątpliwość nasuwały również Prusy, które w ubiegłym tygodniu odnawiały skład swego sejmu. Ostateczny wynik tych wyborów nie jest dotąd ściśle znany, można go już wszakże oznaczyć w bardzo bliskiem prawdopodobieństwie.

Pocieszającym bynajmniej nie jest: partye rządowe nieco wzrosły, opozycya nieco zmalała, polacy, zdaje się, poprzedniej liczby nie odzyskają. Pomimo odrazy, jaką rzetelny „junker" pruski uczuwa do sponiewieranego i spodlonego w służbie narodowo-liberała, przyjął jego pomoc lub mu ją dał, dla pokonania postępowców, demokratów i socyalistów. Skutkiem tego sojuszu partye liberalne musiały na kilku stanowiskach przegrać bitwę. Nadto dodać trzeba, że w systemie wyborów pruskich (ludność głosuje na wyborców, a ci dopiero na posła), przy mnóstwie ograniczeń, rząd może wywierać silny nacisk i wpływ w pożądanym kierunku. Wszyscy urzędnicy — a jest tego legion potężny — idą na komendę do urny i według rozkazu ją zapełniają. Nikt też nie wątpił, że największe wysiłki agitacyjne z przeciwnej strony rozbiją się o maszynę rządową i że posłuszna Bismarkowi większość konserwatywna zasiądzie na swych ławach, co najmniej w dawnym zastępie.

Czy ta wiara, czy niechęć do wyborów pośrednich, czy też powolne rozpływanie się sejmu pruskiego w niemieckim odstręcza od uczestnictwa w głosowaniu — dość że w niektórych okręgach zaledwie 25% uprawnionych spełniło powinność obywatelską. Prawdopodobnie działają tu łącznie wszystkie te przyczyny. Niedorzeczny, przestarzały, licznym nadużyciom otwierający pole system, który nie pozwala wyborcy bezpośrednio powoływać deputata (dodajmy — wyborcy, który w stosunku do innego sejmu prawo to posiada), uczucie niemocy wobec nacisku rządowego, pamięć, że parlament pruski traci coraz więcej i to najważniejszych spraw na korzyść niemieckiego — wszystko to osłabić ruch musiało. Posuwał się on też leniwie, temperatura walki była chłodną, brakło nawet rozpalającego hasła. Najgorętsze— „kulturkampf" — zagrzewało jedynie katolików i już bardzo niewielu zwolenników ustaw majowych. Dawniej można było niem elektryzować — dziś znużyło ono już obie strony, bo z dziedziny społecznej przeszło w dyplomatyczną. Zresztą wszystkie godła polityczne zawarły się obecnie w dwu: *za* lub *przeciw* Bismarkowi. Oto jest różnica zasadnicza, której inne są tylko odcieniami. Kanclerz zaś niemiecki, pomimo skarg i krzyków opozycyi, pozostaje ciągle ogólnie czczonem bożyszczem, z którem tylko do pewnego stopnia walczyć przystoi. Żaden inny naród nie jest tak skłonny do byzantynizmu, do bałwochwalstwa, jak niemcy. Umieją oni pochylić czoło przed widoczną tyranią, umieją wierzyć w głupstwo z wysokości im objawione, umieją znieść cierpliwie wszelką samowolę. Raz ich tylko — jak powiada Heine—Lutor wzburzył religią, ale wkrótce Fr. Drake uspokoił kartoflami. Trzeba było widzieć wytrzeszczone oczy gazet niemieckich, donoszących, że Bismark w sporze z Hiszpanią o wyspy Karolińskie zdał się na sąd... papieża, i trzeba było potem widzieć ich głupowaty uśmiech, z jakim powtarzały, że musi to być „genialne posunięcie." Jeżeli więc wszystkie żywioły, wszystkie stronnictwa zbiegają się w dwu grupach: sług i niesług Bismarka, łatwo pojąć, jakie ci ostatni, oślepieni przytem wraz z pierwszymi jego wielkością, mają do złamania przeszkody. Że oni wogóle wypływają na wierzch — to dziwne.

Wspomnieliśmy, że polacy z obecnych wyborów nie wyjdą w poprzedniej liczbie. Przynajmniej w Poznaniu zwyciężył niemiec. Czy do tej porażki przyczynił się rozbrat, o którym niedawno mówiliśmy? Zapewne. A jeżeli tak jest, to może doświadczenie nauczy współrodaków naszych — już nie zgody, ale taktyki. Dla interesu łączą się konserwatyści z socyalistami, ultramontanie z postępowcami, czy dla daleko ważniejszego, bo narodowego interesu nie powinniby zawiązać sojuszu polacy poznańscy? Mają wyborny przykład w niemieckich konserwatystach, którzy dla przeprowadzenia niemca podali rękę najbardziej przez nich nienawidzonym postępowcom. Stary to nasz grzech i stara nasza wada — brak uzdolnień politycznych i organizacyjnych. Łatwiej nam poruszyć ziemię naokoło słońca, niż dla dobra ogólnego poświęcić osobiste ambicye.

Nie znając ani cyfry wydalonych, ani skazanych na wygnanie, nie możemy ocenić, o ile fakt ten, który zmniejszył ludność polską, wpłynął na rezultaty wyborów. Że coś zaważył — wydaje nam się niezawodnem. Wprawdzie posłużył on polakom za środek agitacyjny, ale z drugiej strony swą grozą wielu przestraszył. Kto tam zliczy, ilu polaków, podniemczonych a żyjących w jakiejś zależności, głosowało

teraz na niemca! Są to objawy, niestety, ludzkie i dobrze nam znane, więc trzeba w nie wierzyć.

Z GALICYI.

Lwów, 20 października 1885.

Kłopoty lojalnego obywatela. — Zbawienie w *Gazecie lwowskiej*. — Wywód finansowy pana ministra skarbu. — Wymowa cyfr. — Czy wierzyć w upadek ekonomiczny? — Pobyt Mierzwińskiego we Lwowie. — Ulica W. Podlewskiego. — Jubileusz Duchińskiego. — Krzywdy wyrządzane nieboszczykom. — Groman. — Bartusówna. — Doroczne posiedzenie w Ossolineum.

Nie masz czytelniku wyobrażenia, jak trudnem bywa czasem położenie obywatela, który chciałby lojalność swoją wobec rządu zachować bez najmniejszej skazy. Jeszcze jako tako z nim, gdy zdoła zaspokoić swe potrzeby umysłowe odczytaniem kilku odwiecznych anekdot z kalendarza lub sumiennem przestudyowaniem „perskiego sennika.“ Lecz biada mu, gdy zapragnie dowiedzieć się, co tam słychać w świecie, czy będzie wojna, o czem tam radzą posłowie w parlamencie itp.—słowem, gdy zacznie czytywać gazety. Odtąd spokój jego duszy stracony na zawsze. Nic mu nie pomoże, że w wysokiem poczuciu swej prawomyślności nie rzuci nawet okiem na dzienniki opozycyjne, lecz ograniczy się jedynie urzędową *Gazetą lwowską* lub nieurzędowym wprawdzie, ale temi samymi ścieżkami kroczącym, poważnym *Czasem* i tegoż latoroślą... Pierwsza lepsza pogawędka przy kufelku piwa o sprawach bieżących, prowadzona z pesymistycznie usposobionym przyjacielem, obudzi w nim rozmaite wątpliwości; potem przy jakiejś drobnej sprawie przyzna (ub. po cichu) słuszność przyjacielowi, a potem odważy się i sam półgłosem coś skrytykować i—już po wszystkiem; stan błogiego spokoju przeminął bezpowrotnie.

Niejednokrotnie odtąd sama treść urzędowej gazety poddawaną bywa krytyce a niejedno w niej przyjmuje on z pewną nieufnością i niedowierzaniem Ale jakże się temu dziwić? Przed kilku dniami przyniosła nam *Gazeta lwowska* świetny wywód finansowy pana ministra skarbu: Kiedy przed laty istniał w budżecie austryackim stały, z roku na rok wzmagający się niedobór, od lat pięciu niedobór ten, w chwili objęcia rządów przez p. Dunajewskiego wynoszący pokaźną cyfrę 50 milionów, nieustannie malał i dziś właściwie nie istnieje, bo w budżecie zwyczajnym jest już nadwyżka dochodów, a tylko w rubryce potrzeb nadzwyczajnych brak 66 milionów, które można pokryć z zasobów kasowych i z kwot należących się państwu od kolei północnej tak, że do kredytowych operacyj nie będzie potrzeba się uciekać.

A więc na polu polityki finansowej zwycięstwo zupełne. Państwo widocznie materyalnie podniosło się olbrzymio w przeciągu ostatnich kilku lat i podnosi się z dniem każdym. Lojalny obywatel z zadowolnieniem czyta ten wywód, cieszy się z tryumfów polityki finansowej ministra-rodaka. Lecz po chwili jakoś zasępia się jego czoło: na drugiej stronicy tej samej gazety znajduje sprawozdanie ze zjazdu rolników, dalej chmielarzy, przemysłowców i kupców, wreszcie rękodzielników itp.; wszystko się skarży na zastój, upadek ekonomiczny, nadmierne podatki, wszystko przepowiada ruinę kraju, wszystko wnosi, ażeby domagać się u rządu ulg, opustów, ułatwień, zniżenia podatków! Ażeby rozerwać myśli po tak czarnym obrazie, trzeba sięgnąć do kroniczki, tam bywają weselsze rzeczy. Znowu rozczarowanie! Same tylko doniesienia o kradzieżach i samobójstwach: ten palnął sobie w łeb, tamten rzucił się z trzeciego piętra, ów utopił się, a wszędzie ta sama przyczyna—brak środków do życia. Ha — cóż robić! z rezygnacyą przegląda się gazetę do końca. Grubsza, niż zazwyczaj, zawiera coś z arkusz ogłoszeń publicznych. Może co ciekawego? Tak jest. Po jednej stronie sądy rozpisują cały szereg licytacyi włościańskich gospodarstw, po drugiej Towarzystwo kredytowe ziemskie wypowiada kapitały właścicielom dóbr.

Czemuż teraz wierzyć? Czy wywodowi finansowemu pana ministra, czy skargom ludności rozmaitych warstw, skargom tak wymownie ilustrowanym?! Być może, że w innych krajach Przedlitawii stan ekonomiczny coraz jest świetniejszy, ale to pewna, że nie w Galicyi. Wymownie o tem świadczą uchwały wspomnianych powyżej zjazdów, domagających się usilnie od rządu ulg podatkowych, ratunku. Że zaś upadek ekonomiczny nie jest urojony, dowodzą także cyfry budżetu krajowego. Przyjęto w nim na rok 1883 za podstawę do obliczenia dodatków na potrzeby kraju sumę podatkową 10,260,000; w roku 1884 zniżono ją na 9 mil. 740 tys., w budżecie na rok 1885 już na 9 mil. 600 tysięcy. Jaki zaś był rzeczywisty wynik poboru, dość przytoczyć cyfry z zamknięcia rachunków na rok 1883, które ma być teraz przedstawione sejmowi. Oto wyznaczono 2 mil. 770 tys. złr. dodatków krajowych a otrzymano tylko 2 mil. 508 tys. złr. a więc o 262 tysięcy złr. czyli mniej więcej o $^1/_{10}$ mniej! Wobec tych nieubłaganych liczb co pomogą piękne słowa pana ministra?

Są jednak chwile, w których nie chce się jakoś wierzyć w ten upadek ekonomiczny kraju. Przed kilku tygodniami przeszło 300 osób jeździło na wystawę do Pesztu. Licząc przeciętnie 100 złr. od osoby, wydano dla zabawy 30 tysięcy złr. Teraz znowu przez kilka dni bawił u nas Mierzwiński. Nie licząc wcale rozmaitych rautów, przyjęć itp. wydano na 4 występy „króla tenorów“ 20 tysięcy złr., jak oblicza *Kuryer lwowski*. Jeżeli jeszcze za wycieczką węgierską coś przemawiało, to nigdy i nic nie usprawiedliwi słono opłacanych afektów dla Mierzwińskiego. Dosadnie, lecz nieco zapóźno skrytykował ten „prąd chorobliwy“ (taki tytuł artykułu) *Kuryer lwowski*; na jego słowa piszę się w zupełności a nie rozrabiam tego tematu, bo już i u was oceniono tę rzecz z właściwego stanowiska. Dodam tylko, że chociaż wszyscy podziwiali głos śpiewaka, nie wszyscy zachwycali się człowiekiem. Zachowanie się M. na raucie mieszczańskim a potem w *Kole literackiem* nie jedno pozostawiało do życzenia; wszystkich zaś raziło, że M. będąc w *Kole* między swoimi (artystami i literatami) nie raczył nawet skromną śpiewką odwzajemnić się za serdeczne przyjęcie, a w Kasynie t. z. Końskiem zbyt się nie dał prosić. Dalsze uwagi pomijam.

Lecz nietylko owacye dla Mierzwińskiego są dowodem pewnego braku miary w ocenianiu zasług ludzi. Nie zbywa i na innych. Niedawno postawiono w tutejszej radzie miejskiej wniosek, ażeby ulicę jedną nazwać „ulicą Waleryana Podlewskiego“—teraz znowu grono ludzi wybitniejszych nawet w naszem mieście urządza uroczysty obchód jubileuszu 50 letniej pracy F. Duchińskiego. I jedno i drugie, za co i na co—nie umiem odpowiedzieć. Mówią, że za wybitne zasługi około naszego społeczeństwa.

Czczą u nas co prawda łatwo, lecz krzywdzą chyba jeszcze łatwiej. Parę tygodni zaledwie mija od śmierci Gromana, współwłaściciela *Kuryera* a dawniej *Narodówki*. Nie szanując majestatu śmierci, ni godności swego nazwiska, rzucił wówczas nasz sławetny *Przegląd*, natychmiast po zgonie Gromana

---

PORZUCONY

przez

Guy de Maupassanta.

— Doprawdy, moja droga, tracisz chyba głowę, jeśli chcesz na taki czas iść w pole na spacer. Od dwóch miesięcy miewasz szczególne zachcianki. Wyciągasz mnie przemocą prawie nad brzeg morza, kiedy od czterdziestu pięciu lat, to jest od chwili naszego pobrania się, nigdy ci nic podobnego na myśl nie przyszło. Za cel swojej wycieczki wybierasz Fécamp, najsmutniejszą w świecie miejscowość i nagle opanowywa cię taka gwałtowna chęć chodzenia, ciebie, coś się dawniej ruszyć nie chciała, że pragniesz biegać po otwartem polu w najgorętszy dzień roku. Ponieważ Apreval dogadza wszystkim twoim kaprysom, może i dziś zechce ci towarzyszyć. Co do mnie, idę do domu spocząć.

Pani de Cadour zwróciła się ku swemu dawnemu przyjacielowi i spytała:

— Czy pójdziesz ze mną, panie Apreval?

Skłonił głowę z uśmiechem i z grzecznością nie dzisiejszych czasów odpowiedział:

— Pójdę wszędzie, dokąd pani pójdziesz.

— I wystawię się na porażenie słońca; wolna wola — rzekł pan Cadour i wszedł do domu, żeby się na kilka godzin położyć.

Pani Cadour i jej stary przyjaciel, jak tylko zostali sami, udali się natychmiast w drogę. Ona ściskając go za rękę, szepnęła:

— Przecież! przecież!

— Szalejesz — odparł — daję ci słowo, że szalejesz. Pomyśl, na co się narażasz. Jeżeli ten człowiek...

Kobieta drgnęła.

— On! Henryku, nie mów: „ten człowiek,“ kiedy o nim wspominasz...

— A więc! — rzekł opryskliwie — jeśli nasz syn domyśli się czegokolwiek, poweźmie choćby najmniejsze podejrzenie, będzie ciebie, będzie nas miał w swojem ręku. Przez lat czterdzieści mogłaś go nie widzieć, cóż ci się dziś stało?

Szli drogą prowadzącą od morza ku miastu. Zwrócili się na prawo dla okrążenia wzgórza Etretat. Palące promienie słońca padały na biały, wijący się jak wstęga gościniec.

Nieznośny upał powstrzymywał prawie ich kroki. Szli zwolna. Ona wsunęła rękę pod jego ramię i patrzyła w dal, przed siebie. Po chwili rzekła:

— Więc i ty nigdyś go nie widział?

— Nigdy!

— Czy podobna?

— Moja droga, nie rozpoczynajmy znowu wiecznej sprzeczki. Mam żonę i dzieci, tak jak ty masz męża, musimy zatem baczyć na opinię.

Nic nie odpowiedziała; myślała o swojej, dawno ubiegłej młodości, o niektórych ustępach swego życia, tak bardzo smutnych.

Wydano ją za mąż, jak się po większej części wydaje młode dziewczęta. Narzeczonego swego, dyplomaty, nie znała wcale, następnie żyła z nim chłodno, przyzwoicie, wedle przepisów wielkiego świata.

Tymczasem młody człowiek, pan Apreval, związany równie jak ona ślubami małżeńskimi, pokochał ją namiętnie. Opierała się czas niejaki gorącemu jego uczuciu, lecz w czasie długiej nieobecności pana Cadour, który wyjechał do Indyi w misyi politycznej, uległa.

oszczerstwo, pomawiając zmarłego o samobójstwo (otrucie się) i wiążąc tę sprawę z przypadkowo równoczesnem uwięzieniem jednego defraudanta, chociaż na poparcie obu twierdzeń nie było najmniejszego dowodu. Potępiono wówczas jednogłośnie ten niegodny wybryk. Dziś mam do zanotowania innego rodzaju krzywdę, wyrządzoną także nieboszczykowi. W n-rze 42 zamieściła *Prawda* kilka uwag o zmarłej niedawno poetce Bartusównie i przytoczyła jej ostatni rzewny wierszyk *Do śmierci*. Wierszyk ten, drukowany w wielu innych pismach, snać nie podobał się pewnym sferom, bo naraz, jak na to zwrócono moją uwagę, pojawił się w *Ognisku domowem* w formie nieco zmienionej. Zamiast słów:

„chociaż *nie wierzę*, by twoja ręka
do złotych niebios wiodła podwoi"

wypowiadających otwarcie myśl poetki — postarano się o skromną zmianę na:

„chociaż *nie pewnam* itd."

I wandalizm i krzywda! Ale kto się o tę krzywdę upomni?

Zamykając mój list nadmienię jeszcze, że 12 b. m. odbyło się doroczne posiedzenie w zakładzie im. Ossolińskich. Kilka słów o sprawozdaniu i o samym zakładzie może wypowiem przy sposobności, tu tylko napomknę, że na zakończenie posiedzenia odczytał p. Bełza swą pracę *o Maryli i jej stosunku do Mickiewicza*. Rzecz nie zawierała nic nowego; było to tylko proste ćwiczenie stylistyczne.

Leszek.

Z FRANCYI.

Paryż, 30 października.

Swobody publiczne we Francyi. — Niezaradność mieszczaństwa francuskiego, które próbuje organizować się w obawie przed radykalizmem.—Chaotyczna mieszanina starego i nowego porządku.

Jeżeli ktoś, biorąc złudne pozory za rzeczywistość, sądzi, że Francya jest krajem szerokich swobód publicznych — to pozostaje w grubym błędzie.

Przyjrzyjmy się świeżym przykładom.

W niedawno ukończonych wyborach do Izby odniosły zwycięstwo dwie partye skrajne: konserwatyści i radykalni. Środek został pobity na głowę. W samem jądrze tego środka, oskrzydlonego konserwatywnymi republikanami z jednej, a oportunistami z drugiej strony, mieści się bardzo niewinny dziś i potulny gatunek — liberalni. Partya ta, złożona z uczonych doktrynerów i bogatego mieszczaństwa, posiada wielką przewagę w życiu, w stosunkach i ustroju społecznym, w polityce jednak wewnętrznej nie wchodzi prawie do rachuby. Może to dziwne, ale pewne, że liberalne mieszczaństwo we Francyi żadną siłą polityczną nie jest. Nie mam tu zamiaru wchodzić szczegółowo w przyczyny tego zjawiska, nie trudno atoli orzec z góry, że ludzie, zajęci przedewszystkiem własnemi, egoistycznemi sprawami, robieniem pieniędzy i wszystkiem, co do tego rzemiosła należy, nie mają czasu na publiczne. Ażeby się temi ostatniemi zajmować, żeby się do nich roznamiętnić, trzeba mieć w tem jakiś bezpośredni interes, trzeba mieć w życiu jakieś idealne cele. Wszystko to obce i obojętne jest dziś wzbogaconemu mieszczaństwu. Wymaga ono tylko, żeby nie tykano jego przywilejów zasadniczych, żeby mu nie przeszkadzano w robieniu interesów. Co się po zatem dzieje — wcale go nie obchodzi... Polityka pochłania czas i środki, naraża na nieprzyjemne i niewygodne niespodzianki — niech tam sobie kto inny na niej kark kręci!

Tak rozumuje dziś francuski *bourgeois*, jeżeli zdarzy się coś, co błogi jego spokój zakłóci i naprowadzi na tego rodzaju rozmyślania. Skutki takiego odsunięcia się od życia publicznego muszą być z czasem dla klasy całej zgubne. Kto przestaje się zajmować polityką, ten ją przestaje rozumieć, traci wszelkie zdolności i wpływy w tym zakresie i ustępuje miejsca innym, którzy nie zasypiali gruszek w popiele...

Niebezpieczeństwa tej fatalnej opieszałości zaczyna dostrzegać dziś mieszczaństwo francuskie. Po wyborach obecnych przyszło mu kilka zbawiennych myśli. Przekonano się, że mimo silną swą pozycyę społeczną, liberalizm zalewany jest przez wrogie fale—i uderzono na gwałt. Trzeba przecież coś zrobić dla swej obrony! Partye radykalne i wsteczne posiadają ludzi gorąco oddanych sprawie, mają swe dzienniki, wydawnictwa, komitety propagandy itd.; liberalizm zaś drzemie sobie wygodnie na zdobytych stanowiskach. Oczywiście przedewszystkiem postanowiono zawiązać stowarzyszenie, któreby się zajęło propagandą i obroną zasad liberalnych. Przypomniano sobie mianowicie, jak wielkie usługi oddała w Belgii liberalizmowi *Association liberale* brukselska.

Zaledwie jednak pomyślano o tem, uderzono nosem o rogatkę tyle przechwalonych swobód francuskich. . Okazało się, że we Francyi nie wolno zawiązać politycznego stowarzyszenia... Przed tym zakazem cofnęli się panowie liberalni z szacunkiem, jaki żywią dla wszelkiej legalności, i jęli sobie łamać głowę nad tem, jak „obejść" prawo.

Jak się to robi, powinni byli przedewszystkiem zapytać — konserwatystów. Ci nie mają także żadnego uprawnionego stowarzyszenia dla obrony swych interesów, mają jednak wpływy w różnych związkach, mają swoją prasę, mają ludzi oddanych; gdy zaś chodzi o porozumienie się, wytknięcie jakiej drogi wspólnego działania, znajdą zawsze sposobność po temu, zgodnie ze znanem przysłowiem, że „kto chce psa uderzyć, kij znajdzie." Że znaleźli, najlepszym tego dowodem — rezultat wyborów 4 października. Możemy zresztą powołać się i na bardziej dotykalne świadectwo. Były prezydent oportunistycznego gabinetu, Juliusz Ferry, „interviewowany" świeżo przez jednego z dziennikarzów, oświadczył między innemi, że w samem departamencie Wogezów, skąd on właśnie posłuje, „koalicya konserwatywna" wydała 200,000 fr. na agitacyę przedwyborczą i zalała prowincyę takiem mnóstwem broszur, iż przypada ich 14 na każdego z 120,000 wyborców owego okręgu. Zapominać nie należy, że prowincyonalna arystokracya konserwatywna porozumiewa się bez trudności na zebraniach towarzyskich w swych pałacach (między którymi leży *chateau d'Eu*, rezydencya Orleanów), że nie żałuje pieniędzy, że ma gorliwych sojuszników w duchowieństwie... Radykalni znajdują oporę w związkach robotniczych i mają także ludzi oddanych i liczną prasę, redagowaną z werwą i talentem. O liberalnych tego powiedzieć nie można...

W tym warunkach, przy apatyi z jednej a gorączkowej działalności z drugiej strony, szanse są nierówne. Niedawno, na zebraniu przedwyborczem w Bordeaux skarżył się Clemenceau, że obóz republikański w swej całości jest niezorganizowany i bezsilny... Jakże ma organizować się, kiedy to w trzeciej Respublice francuskiej jest niemożebnem! Reakcyjne pozostałości są tu silniejsze, aniżeliby się zdawało.

Wracam jednak do liberałów. Otóż chodząc i obchodząc, znaleźli wreszcie, czego im było potrzeba. Wyszukali odpowiedni paragraf ustaw i rozporządzeń republikańskich, który zezwala na zawiązanie sto-

---

Czyż mogło być inaczej? Czyż kochając mogła się zdobyć na dostateczną siłę panowania nad sobą? Nie, nie! Toby było za ciężkie, za straszne dla niej! Ile jednak to życie stawia nam na drodze zasadzek! I jak tu uniknąć pewnych przeznaczeń losu? W samotności, w opuszczeniu, nie mając dzieci, czy podobna obronić się namiętności rozbudzonej w sercu? To tak, jak gdyby żyjąc wśród wiecznej nocy, chciał ktoś uniknąć jasnego promienia słońca, jedyny raz usiłującego rozproszyć otaczającą nas ciemność.

Jakżeż żywo teraz przypominała sobie każdy uścisk, każdy uśmiech, każdy szczegół tych dni szczęśliwych, najpiękniejszych dni jej życia, a tak krótkotrwałych!

Jakaż rozpacz ją ogarnęła, gdy spostrzegła, że miała zostać matką.

Och! ta podróż na południe, ta długa podróż, te cierpienia, ta ciągła bojaźń, to życie tajemnicze w samotnej chacie, nad brzegiem morza Śródziemnego, z której nie mogła ani na chwilę głowy wychylić!

Jak dobrze pamiętała ową nieskończoną ilość dni spędzanych na sofie pod drzewem pomarańczowem, w którego piękne, żółte, okrągłe owoce, wychylające się z ciemnej zieleni, wpatrywała się całe godziny! Jakby była chciała wydostać się stamtąd, pójść nad morze, którego świeży powiew dochodził ją z poza muru, którego lekkie kołysanie fal słyszała i o którego lśniącej, srebrzysto-błękitnej powierzchni marzyła. Ale lękała się przejść furtkę. Nuż by ją poznano i dowiedziano się o hańbie, tak przez nią starannie ukrywanej.

A ostatnie dni oczekiwania, a grożące cierpienia, a owa straszna noc! Ileż ona znieść musiała!

Ta noc okropna! Jeszcze teraz widzi bladą twarz kochanka, co chwila całującego ją po rękach, widzi sztywną postać doktora i biały czepek służącej.

A jakiegoż wstrząśnienia aż w głębi serca doznała, posłyszawszy słaby głos dziecięcia!

Nazajutrz! Był to pierwszy i ostatni dzień, w którym mogła uścisnąć swego syna, gdyż odtąd już go nigdy nie widziała!

Potem życie puste, bezbarwne, z bezustanną, wieczną myślą o synu, którego jej zabrali, porwali, ukryli. Wiedziała tyle tylko, że był wychowywany przez wieśniaków normandzkich, że sam został wieśniakiem, że się dobrze ożenił i był hojnie wyposażony przez swego ojca, nieznanego mu nawet z nazwiska.

Ileż to razy w ciągu lat czterdziestu pragnęła pojechać do Normandyi, żeby zobaczyć swe dziecię. Nie mogła go sobie wyobrazić dojrzałym mężczyzną. Zawsze tylko widziała przed sobą maleństwo, które przez jeden dzień trzymała w swoich objęciach i tuliła do zbolałego łona.

Ileż to razy mówiła do swego kochanka: „Już dłużej nie wytrwam, muszę go zobaczyć — pojadę."

Zawsze ją od tego powstrzymał uwagą: że nie będzie mogła panować nad sobą, że się zdradzi, że ją odgadną, wyzyskają, że będzie zgubiona.

— Jak wygląda? — pytała.

— Nie wiem. Wszak nieraz ci mówiłem, żem go nie widział.

— Czy to być może? Mieć syna i nie znać go. Bać się go i odrzucić od siebie jak sromotę — to straszne!

Szli ciągle pod górę, upadając prawie ze zmęczenia i gorąca. W końcu ona rzekła:

— Jak gdyby za karę, los mi już nigdy nie dał dziecka. Nie, nie mogę się oprzeć pragnieniu zobaczenia go, pragnieniu dręczącemu mię od lat czterdziestu. Wy, męż-

warzyszenia o celu ściśle określonym i na czas z góry oznaczony.

W ten sposób przyszli do projektu „Stowarzyszenia republikańskiego dla obchodu stuletniego jubileuszu 1789.“

Dziennik *Temps*, który wpadł na ten pomysł, wykłada szeroko, że w Rewolucyi francuskiej, mianowicie w pierwszej jej połowie można się doszukać tradycyj liberalnych. Radykalny teroryzm nastąpił dopiero po r. 1792. Być może, faktem jest jednak, że tradycye pierwszej Rewolucyi przywłaszcza dziś sobie radykalny republikanizm. Jest to więc niejako kierować wodę na młyn przeciwnika. Nie zdawałoby mi się także, żeby wywoływanie pamięci 89 roku było właściwą osłoną do organizowania stronnictwa liberalnego i propagandy jego zasad. Rzecz to jednak francuskich liberałów. My możemy przejść tylko nad tą sprawą do porządku dziennego.

Nie znaczy to jednak, żebyśmy wyczerpali już kwestyę swobód publicznych we Francyi. Cała prasa paryska zajęta jest w tej chwili *Germinalem*, który miał się ukazać niebawem na scenie teatru Chatelet, został jednak zabroniony. Sam Zola w artykule, który będzie twardym orzechem do zgryzienia dla Gobleta, ministra oświaty, opisał całą ciekawą Odyseę, dotyczącą rękopismu ostatniej swej udramatyzowanej powieści. Napatrzył się i nasłuchał nie mało. Przez całe tygodnie chodził wraz ze swym dramatycznym spólnikiem do *Comission d'examen*, do podsekretarza stanu w ministerstwie oświaty, do samego p. Gobleta... Przeszedł przez czyściec cały upokorzeń kłopotów i trudów a mimo to pozwolenia nie uzyskał. Powodem odmowy nie jest bynajmniej moralność dramatu, lecz tendencya społeczna. Autor okazał się skłonnym do układów, usunął zupełnie nawet scenę, w której wojsko strzela do górników, trwających w zmowie, usunął inne podobne ustępy i mimo to rozgrzeszenia nie uzyskał...

Sprawa ta narobiła wiele hałasu i stała się nawet ważną kwestyą polityki wewnętrznej. Jeżeli minister nie cofnie swego zakazu przed zebraniem się Izby, narazi się na burzliwą interpelacyę ze strony radykalnej lewicy i może nawet będzie zmuszony ustąpić swą tekę na rzecz kogoś przychylniej usposobionego dla swobody myśli... Przytem sprawa ta grozi rozbiciem z takim trudem utrzymywanego sojuszu oportunistyczno - radykalnego *), a w każdym razie nie jedna sympatya gabinetowi i rządzącej większości...

Doprawdy, dziwić się wypada, skąd p. Gobletowi przyszło do głowy sprowadzać całą tę burzę, tem bardziej, że nikt nie wątpi, iż ostatecznie dramat będzie wystawiony. Podobny brak taktu i politycznego zmysłu byłby niezrozumiały, gdybyśmy nie pamiętali o biurokratycznym ustroju, jaki krępuje wciąż Francyę. I ludzie tu w tych nałogach wyrośli; gdy się dostaną do władzy, nawet radykalni, wstępują w ślady cesarstwa.

Stare te nałogi sprawiają, że Francya republikańska w swym postępowym rozwoju co krok spotyka jakieś nieprzewidziane przeszkody i stwarza sobie wewnątrz trudności, któreby istnieć nie powinny. Dziś czerwone chorągwie, jutro *Germinal*, pojutrze awantura uliczna, połączona z rozbijaniem ludzi niewinnych — a wszystko to dowodzi tylko, jak mało zakorzeniły się jeszcze we Francyi swobody publiczne.

Co za różnica z Anglią lub choćby z Belgią! Wielka Brytania przygotowuje się naprzykład obecnie do wyborów. Proszę przyjrzeć się jej życiu publicznemu i porównać je z niedawną agitacyą przedwyborczą we Francyi. W Anglii istnieją oddawna i rozwijają dziś potężną działalność wielkie stowarzyszenia i związki konserwatywne, liberalne i radykalne, które we Francyi nie miałyby podstawy prawnej. Angielskie stowarzyszenia wyrabiają szersze programy, prowadzą rozległą propagandę swych zasad a prowadzą ją nietylko w okresie przedwyborczym, posiadają nader rozgałęzioną organizacyę, ogarniającą swemi sieciami kraj cały... Gdy kwestya jakaś porusza żywo opinię publiczną, odbywają się pod gołem niebem mityngi, liczące dziesiątki i setki tysięcy uczestników. We Francyi zebrania pod odkrytem niebem są zabronione; wyborcy dla urządzania swych zebrań dusić się muszą po teatrach, szkołach, lub salach prywatnych, wynajmowanych zwykle na bale i hulatykę.

O Francyo, „pawiem narodów byłaś i papugą,“ możnaby powtórzyć z poetą, a„ teraz jesteś...“ dziwnym chaosem starego i nowego porządku — mętną wodą, w której wolni od wszelkich skrupułów rybacy liczyć mogą zawsze na obfity połów.

P.

*) Jest to objaw znamionujący doskonale lekkomyślność ojców i opiekunów Rzeczypospolitej francuskiej: do zmian prawodawczych nie mają odwagi, ale do zwalenia ministra i rządu, do rozbicia ugrupowań parlamentarnych z powodu... dramatu — gotowi! *Red.*

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

IV.

Z kolei opowiada nam Laveleye swą wycieczkę do Bośnii. Ciekawy ten opis odkładamy jednak na później, ażeby zapoznać bezwłocznie czytelników naszych z ostatnią (dotąd przynajmniej) częścią pracy belgijskiego publicysty, która się pojawiła w zeszycie *Revue des deux Mondes* z dnia 15 października r. b.

Autor zdaje tu sprawę z wycieczki swej do Serbii. Ponieważ oczy wszystkich zwrócone są obecnie w stronę Niszu i Belgradu, uważaliśmy więc za stosowne ukazać obraz młodego królestwa, nakreślony piórem znawcy i naocznego świadka.

L. miał zamiar udać się wprost z Serajewa do Belgradu, na odgłos jednak zaburzeń w Zagrzebiu zawrócił jeszcze na Kroacyę, ażeby bliżej poznać żądania chorwatów, występujących przeciwko przewadze węgierskiej i w ten sposób rzecz swą o Kroacyi uzupełnić.

To niewielkie zboczenie z drogi pobudziło go do rozmyślania nad sprawą narodowości. Podróżując po Austro-Węgrzech—powiada—sprawę tę spotykamy na każdym kroku. Francuzi nie pojmują dobrze siły uczucia etnicznego, przebyli już bowiem ten „moment“ w swym rozwoju. We Francyi nad odrębnościami prowincyonalnemi i rasowemi zapanowała idea ojczyzny, jednej i niepodzielnej; idea ta stała się kultem, który opanował inne bożyszcza. Nie sądzimy, ażeby bretończycy, flamandowie departamentów północnych, alzatczycy, prowansalczycy zrzekli się już zupełnie swych odrębności; przypuszczamy nawet, że wraz z rozbudzeniem się ducha autonomicznego we Francyi prowincyonalizmy te odżyją—bądź co bądź jednak różnica w tym względzie między Austro-Węgrami i Francyą jest niezaprzeczoną.

Rozbudzenie się narodowości uważa Laveleye za nieuniknione następstwo rozwoju demokracyi i ustroju konstytucyjnego. Postęp oświaty powołuje do życia języki narodowe, życie publiczne wzmacnia ich stanowisko. Mowa ludowa podbija sto-

---

czyźni, wy tego nie rozumiecie. Pomyśl, że stoję już prawie nad grobem. I nie miałażbym go widzieć... Nie, to niepodobna. Nie pojmuję nawet, jak mogłam czekać aż dotąd. Myślałam o nim w każdej chwili. Nie obudziłam się ani razu, czy słyszysz? ani razu, żeby pierwsza moja myśl nie była przy niem, przy mojem dziecięciu. Jak się ma? Jak wygląda? Och! jakże się czuję występną względem niego! Czyż w takich razach powinniśmy zwracać uwagę na świat? Należało mi wszystko porzucić, a zająć się niem i jego wychowaniem. Byłabym bezwątpienia nierównie szczęśliwsza. Nie miałam na to odwagi. Byłam nikczemna. To też nad wszelki wyraz cierpiałam! Jakżeż te biedne, opuszczone istoty muszą nienawidzieć swe matki!

Łkanie przerwało jej mowę. Cała dolina wystawiona na żar słoneczny była milcząca i pusta. Jedynie tylko koniki polne odzywały się w napół przepalonej trawie, rosnącej po obu stronach drogi.

— Usiądź na chwilę — rzekł—i poprowadził ją na brzeg rowu, gdzie zsunęła się na ziemię, ukrywszy twarz w dłonie. Białe jej włosy zwinięte z tyłu głowy rozpięły się i okryły zwiędłą, pomarszczoną szyję, a coraz gwałtowniejsze szlochanie wydobywało się ze zbolałej piersi.

Stał przed nią zaniepokojony, nie wiedząc co mówić. Nareszcie szepnął:

— Dosyć tego, dosyć... odwagi.

Podniosła się.

— Będę ją miała. Otarła oczy, poprawiła włosy i szła dalej krokiem nierównym, właściwym ludziom starym.

Doszli do kępy drzew, za którą kryło się kilka domków i skąd dochodził odgłos jednostajnych uderzeń młota kowalskiego.

Wkrótce, na prawo, ujrzeli wóz stojący przed niską chałupką, a pod szopą dwóch ludzi kujących konia.

Pan Apreval zbliżył się do nich i zapytał:

— Gdzie jest folwark Piotra Benedykta?

Jeden z nich odpowiedział:

— Idźcie na lewo, potem skręćcie koło karczmy na prawo, do trzeciego domu za Poretem. Przy wrotach rośnie mała sośninka. Traficie z pewnością.

Zwrócili się na lewo. Ona ledwie szła, nogi się pod nią uginały, a serce biło gwałtownie.

Co chwila składała ręce, jakby do modlitwy: „Och! Boże! mój Boże!“ Straszne wzruszenie dławiło ją i chwiała się na nogach, jakby były podcięte.

Pan Apreval, rozdrażniony, cokolwiek blady, rzekł cierpko:

— Jeśli już teraz nie możesz panować nad sobą, to później zdradzisz się natychmiast.

— Czyż mogę? — wyjąkała. Moje dziecię! Kiedy pomyślę, że mam ujrzeć moje dziecię!

Szli dróżyną pomiędzy opłotkami, obsadzonymi dwoma rzędami buków, a oddzielającymi sąsiadująco z sobą folwarczki.

W końcu stanęli przed wrotami, przy których rosła młoda sośninka.

— To tutaj — rzekł.

Stanęła i zaczęła się chciwie przyglądać.

Dziedziniec, obsadzony jabłoniami, był duży i ciągnął się do domku pokrytego słomą. Wprost domu stała obora, stajnia, stodoła i kurnik. W szopie, pokrytej dachówką, mieściły się bryczki, kabryolet, wozy itd. Czworo cieląt pod drzewami skubało trawę. Czarne kury łaziły po wszystkich kątach.

Najmniejszego szelestu. Drzwi domu stały otworem, ale nikogo nie było widać.

Weszli przez wrota. Natychmiast wielki, czarny pies, spoczywający w budzie pod jedną z jabłoni, wyskoczył i zaczął ujadać.

pniowe szkoły, literaturę, prasę, parlament. Jako ciekawy objaw takiego rozbudzenia przytacza Finlandyę, gdzie język fiński jest wykładowym w szkołach ludowych, w pewnej liczbie średnich, daje się słyszeć nawet z katedr uniwersyteckich, jest wreszcie organem literatury, prasy i teatru. Jeszcze świetniejszy przykład takiego odrodzenia przedstawiają Czechy. Z kolei przywodzi autor Galicyę jako przykład zwycięstwa języka polskiego nad niemieckim, możemy jednak uwagę tę uzupełnić jeszcze, wskazując na rozbudzenie się narodowości rusińskiej w Galicyi Wschodniej.

W sprawach ludzkich — mówi Laveleye—wypływają czasami niepowstrzymane prądy; nic ich nie zatamuje i wszystko im służy. Takim jest właśnie ruch narodowościowy. Ożywił się przed półwiekiem: ludy nieznane, pomijane przez dyplomatów i historyę, dźwigają się potężnie, niepowstrzymane w swym rozwoju, rozgłośne. Zdawałoby się, że zmartwychpowstają umarli.

Minąwszy Brod pograniczny, podróżnik europejski spotyka w wagonie kolejowym posła kroackiego ze skrajnej lewicy, który z oburzeniem wyłuszcza mu w sposób następujący zarzuty, skierowane przeciwko węgierskiej gospodarce w Kroacyi.

Kroacya—mówi on—nie jest prowincyą węgierską, lecz niezależnem królestwem, które w r. 1102 wybrało swobodnie swoim zwierzchnikiem króla węgierskiego Kolomana; w wieku XVI na sejmie w Cetynii oddano się dynastyi Habsburgów; za Karola VI sejm kroacki potwierdził to panowanie dynastyi habsburskiej, nie poddał się jednak Węgrom. Przez trzy wieki Kroaci bronili Węgry i chrześciaństwo od turków. Przeleliśmy całe rzeki krwi w walce z muzułmanami i pozostaliśmy biedni. Dziś węgrzy wyniszczają nas jeszcze bardziej. Od r. 1868 do 1882 wnieśliśmy do wspólnej kasy skarbowej 112 milionów złr., z których tylko 43 wróciło do naszego kraju, resztę pochłonął Peszt. Madziarzy są dobrymi mówcami i dzielnymi żołnierzami, lecz złymi i rozrzutnymi gospodarzami. Obdłużają swe dobra i zmuszeni są następnie sprzedawać je żydom. Obciążyli też Zalitawię ogromnym długiem, przewyższającym miliard złr.; stało się to w ciągu lat szesnastu. Wydali kraj na pastwę europejskim bogaczom, którzy dla wydobycia swych procentów ciemiężą naszych włościan bardziej jeszcze, niż fellahów w Egipcie. Oddaleni od większych rynków, rolnicy nasi muszą sprzedawać swoje płody po cenach bardzo niskich, gdy zaś nie są w stanie uiścić się z podatków, mienie ich wystawiane bywa na sprzedaż. Nieraz też są doprowadzeni do rozpaczy i gotowi przy lada sposobności za broń pochwycić. Ciemięstwo to osłabia nawet tradycyjne przywiązanie do cesarza, które było kultem kraju, co w r. 1848 nie wahał się poświęcić 40,000 swych synów dla obrony korony Habsburgów. Dziś cesarz, powiadają, związany jest z Węgrami. Wszystko dla nich—nic dla nas. Ile wyrzucono pieniędzy dla uregulowania Dunaju i Cisy! Nasze rzeki natomiast, Drawa i Sawa są zapuszczone. Przyjrzyj się pan na mapie sieci dróg żelaznych; wszystkie mają na celu skierowanie handlu ku Pesztowi z pominięciem Kroacyi. Potrzeba tylko wybudować niewielką odnogę kolei z Brodu do Osieka dla sprowadzenia produktów z Bośnii wprost do Zagrzebia i Rjeki. Z Brodu najkrótsza droga do Posztu winnaby iść na Djakowo i Osiek, mija jednak te miasta, zataczając znaczny łuk przez Dalję...

Cesarz zgodził się na przyłączenie Pogranicza wojskowego do naszego królestwa. Przyklasnęliśmy temu, bo dziś na szczęście nie potrzebujemy się bronić przeciwko tureckim najazdom. Przyłączenie to jednak drogo kosztowało biednych mieszkańców. Kraj posiadał wspaniałe dębowe lasy, które korona pozostawiła mieszkańcom wzamian za pełnienie powinności wojskowej. Dziś przyszli węgrzy i drzewa, okupione najszlachetniejszą krwią naszych braci, wycięli i sprzedali dla pokrycia wydatków na drogi żelazne węgierskie. Lasy te warte były sto milionów i stanowiły zapasowy kapitał na przyszłość. Kroacya jest małym krajem, liczącym niespełna dwa miliony ludności, ludność ta jednak jest przedstawicielką wielkiego szczepu. Tworzyliśmy już chrześciańskie państwo cywilizowane w czasach, kiedy hordy madziarskie błąkały się jeszcze po stepach Azyi wraz z turkami, ich pobratymcami. Nigdy finowie nie zdołają zapanować nad ludami aryjskimi, wśród których rozbili namioty. Zgodzą się na równouprawnienie, lub wrócą do Azyi wraz z turkami.

— Laveleye robi uwagę, że przecież Kroacya ma autonomiczny zarząd, sejm narodowy i nawet rodzaj wicekróla w postaci bana.

— Wszystko to złudne chimery—odpowiada namiętnie kroata. Ban nie jest przedstawicielem cesarza, lecz tworem peszteńskim. Wyznacza go minister węgierski i głównym jego obowiązkiem jest madziaryzowanie kraju. Administracya spoczywa w rękach ludzi, którzy myślą tylko o przypodobaniu się swym węgierskim zwierzchnikom. Sejm nie reprezentuje potrzeb krajowych; wybory nie odbywają się swobodnie. Administracya nie przebiera wtedy w środkach. Prasa nasza ulega uciskowi gorszemu, niż za czasów Metternicha...

Węgrzy dążą do wynarodowienia nas, postęp jednak oświaty i wzmaganie się ducha narodowego położą temu tamę. Czy może myślą nasz kraj autonomiczny zamienić na komitat węgierski? Jeżeli madziarzy trwać będą dalej w tej polityce, wzbudzą w naszych piersiach nienawiść, która odezwie się zczasem strasznym odwetem. Czyż zapomnieli o Jelaczicu, idącym w r. 1848 na Peszt? Powinni również pamiętać o tem, że jest ich pięć milionów otoczonych falami słowiańskiego morza, które ich kiedyś pochłonie.

Laveleye stara się rozpatrzyć chłodno te namiętne zarzuty opozycyi kroackiej.

Autor pyta: czy w czasie, kiedy uczyniono zadosyć (?) żądaniom czechów, spełnionemi będą i żądania słowian południowych? Od tego—powiada—zależą losy Austryi i całego południo-wschodu. Ugoda, zawarta w r. 1868 między Kroacyą i Węgrami, jest niejako powtórzeniem austro-węgierskiego dualizmu. Kroacya zachowała swój sejm, który zajmuje się wewnętrznemi sprawami kraju. Armia, cła i finanse należą do zakresu działań centralnego parlamentu zalitawskiego. Na czele rządu kroackiego stoi ban, mianowany przez cesarza na przedstawienie węgierskiego gabinetu. Ban znowu mianuje wyższych urzędników; ma on obowiązek zdawać sprawę z swych czynności przed sejmem, który znowu posiada prawo kontroli i rozpraw, nie może jednak obalić bana lub ministeryum.

Jakież są rezultaty tej ugody?

— Część przynajmniej zarzutów powyższych—mówi Laveleye—zdaje się być zupełnie uzasadnioną. Daleko mniej starano się o podniesienie ekonomicznego stanu Kroacyi, niż Węgier. W Węgrzech liczne drogi żelazne przyczyniły się do ulepszeń w rolnictwie i podwyższenia cen, kraj więc łatwiej znieść może podwyższenie podatków. W Kroacyi ceny pozostały na nizkim poziomie i kultura, mniej pobudzana potrzebami zbytu, mniej postąpiła—ciężary więc trudniejsze są do zniesienia.

Nie ulega przytem wątpliwości, że centralny rząd peszteński dąży do wzmocnienia swej władzy w Kroacyi. Trudno się

Z drugiej strony domu ujrzeli jeszcze cztery ule oparte o mur.

Stanąwszy przed domem, pan Apreval zawołał:

— Jest tam kto?

Ukazała się mała, może dziesięcioletnia dziewczynka, brudna, w koszuli wełnianej, grubej spódniczce, boso, spoglądająca na przybyłych nieśmiało i nieufnie. Stanęła we drzwiach, jakby chciała bronić wstępu do izby.

— Czego chcecie? — spytała.

— Czy jest ojciec?

— Niema.

— A gdzie jest?

— Nie wiem.

— A matka?

— Poszła do krów.

— Czy prędko wróci?

— Nie wiem.

Pani Cadour, jakby się lękała, żeby ją siłą stąd nie wyprowadzono, rzekła spiesznie do towarzysza:

— Nie odejdę, dokąd go nie zobaczę.

— Zaczekamy na niego, moja droga.

Odwróciwszy się, ujrzeli wieśniaczkę idącą ku domowi z dwoma blaszanemi, a jak się zdawało ciężkiemi wiadrami, od powierzchni których odbijało się światło słoneczne, migając i rażąc oczy.

Kobieta kulała na prawą nogę. Miała na sobie kaftan niegdyś brunatny, ale zniszczony, spełzły, wytarty i wyglądała nie na zamożną właścicielkę folwarku, lecz na biedną, brudną służącę.

— Mama idzie — rzekło dziecko.

Zbliżywszy się do mieszkania, spojrzała na przybyłych niechętnie i podejrzliwie i weszła do domu, jak gdyby ich wcale nie widziała.

Wyglądała staro; twarz miała zapadłą, żółtą, ostrą, drewnianą, jaką zwykle odznaczają się wieśniacy.

Pan Apreval przywołał ją.

— Chcieliśmy was prosić o sprzedanie nam dwóch szklanek mleka.

Postawiła wiadra i ukazała się we drzwiach, odmruknąwszy:

— Nie sprzedaję mleka.

— Kiedy jesteśmy bardzo spragnieni. Ta pani już w wieku i bardzo zmęczona. Czy nie możnaby dostać jakiegokolwiek napoju?

Wieśniaczka przypatrywała im się niespokojnie i posępnie. W końcu rzekła:

— Kiedy już jesteście, to wam dam.

I weszła do izby.

Po chwili dziecko wyszło, niosąc dwa stołki. Postawiło je pod jabłonią. Następnie ukazała się matka z dwoma kubkami spienionego mleka i podała je przybyłym.

Stała przed nimi, nie spuszczając z nich oka, jakby chciała przeniknąć ich zamiary.

— Jesteście z Fécamp? — spytała.

— Tak, przybyliśmy do Fécamp na lato — odpowiedział pan Apreval. Potem dodał:

— Czy nie moglibyście nam co tydzień sprzedać kilku kurcząt?

Wieśniaczka po chwilowem wahaniu odpowiedziała:

— Czemu nie. Czy chcecie młodych kurcząt?

— Tak, młodych.

— A po czemu je płacicie na targu?

Pan Apreval nie miał o cenie kur cząt najmniejszego pojęcia, zwrócił się więc do swej towarzyszki:

— Po czemu płacisz drób, moja droga, młody drób?

Z oczami pełnymi łez — wyjąkała:

— Cztery franki, lub cztery piędziesiąt.

Wieśniaczka zdziwiona spojrzała na nią z pod oka i rzekła:

— Czy ta pani jest słaba, że płacze?

Nie wiedział co odpowiedzieć.

— Nie... nie... ale... ale zgubiła w drodze zegarek, piękny, złoty zegarek i to jej

temu dziwić—powiada Laveleye. System podwójnie ugodowy wytworzył porządek tak złożony i mało obrotny, że wydać się może za ciężki dla administracyi, która chce się poruszać swobodniej, na wzór państw nowożytnych. Kroacya wchodzi w skład ziem, należących do korony św. Szczepana; zdawałoby się więc, że uchwały zapadające w centrum nie powinnyby spotykać się z *liberum veto* autonomii kroackiej. Wypadek ten nie zachodzi w państwach federalnych, jak Szwajcarya i Stany Zjednoczone. Rzecz jednak w tem, że Austro-Węgry w gruncie nie są takiem państwem. W ustroju szczerze federalnym prawa władzy federalnej i prowincyonalnego samorządu są ściśle określone, co chroni od różnych starć i nieporozumień. Wzajemne zaś granice kroackiego samorządu i praw węgierskich nie są ściśle oznaczone, a raczej żadna ze stron nie pragnie trzymać się ugody. Dwa kraje współzawodniczą z sobą i usiłują się przemódz nawzajem. W tych warunkach trudno myśleć o zgodzie.

Sprawa parlamentarnego przedstawicielstwa i udziału Kroacyi o wydatkach wspólnych była powodem nie małych trudności. Kroacya, która w r. 1867 nie chciała wysłać delegatów na koronacyę cesarza do Pesztu, zgodziła się następnie być reprezentowaną przez dwóch członków w węgierskiej Izbie panów i 29 posłów w Izbie poselskiej. Gdy Pogranicze wojskowe przyłączono do niej, powinna była mieć 54 przedstawicieli. Zrobiono jednak tak, ażeby miała 40.

Ugoda oznaczyła finansowy udział Kroacyi w sprawach wspólnych stosunkiem 6.44 do 100. Węgry miały pokrywać resztę, t. j. 93.56 na 100. Umówiono się, że w każdym razie Kroacya otrzymywać będzie 2,200,000 złr. na wydatki rządu autonomicznego. W r. 1872 ułożono się znowu, że ona zachowa 45 za 100 ze swych dochodów. Wypadło z tego, że otrzymuje więcej, niż dwa miliony dwakroć stotysięcy złotych reńskich, z drugiej zaś strony pozostało 55 za 100 nie pokrywają owych 6.44% wydatków wspólnych, które przypadają na jej udział. Stąd oskarżenia wzajemne.

Istotna przyczyna owych nieporozumień—mówi autor—leży w tem, że ideały obu krajów są różne i z sobą niezgodne. Wielka idea chorwacka wymaga połączenia w jedną silną całość wszystkich ludów serbo-kroackich, t. j. Kroacyi, Slawonii, Dalmacyi, Bośnii i Hercogowiny, Czarnogórza i Serbii. Takie dopiero państwo mogłoby równoważyć wpływy węgierskie. Węgry nie chcą się zgodzić na taki układ, któryby rozbił historyczną jedność ziem korony św. Szczepana i który nie pozwolił by im stawiać skutecznego oporu niemcom i czechom z Przedlitawii (?). Starają się też wszelkiemi siłami położyć tamę rozwojowi narodowości kroackiej, a w tem dążeniu uciekają się do drobnostkowych szykan, które drażnią kroatów w wysokim stopniu. Gdyby w Zagrzebiu byli przekonani, że w Peszcie nie żywią względem nich wrogich zamiarów, ugoda łatwiejszą byłaby do utrzymania.

W warunkach powyższych wyrobiły się w Kroacyi trzy partye: stronnictwo narodowe, niezawisłe, i skrajna lewica, która nadaje sobie miano „partyi prawa.“

Partya narodowa strzeże literalnie ustawy ugodowej z r. 1868. Broni jej ona i przeciwko rządowi węgierskiemu i przeciwko reformatorskim dążeniom w kraju do rozszerzenia autonomii. W programie swoim z dnia 27 grudnia 1883 powiada, że zaburzenia grożące przyszłości kraju pochodzą z tego, iż obie strony nie trzymają się ściśle zawartego układu.

Stronnictwo narodowe niezawisłe zaznacza wyraźniej swą opozycyę przeciwko dążeniom centralistycznym. Jeden z wybitnych jego członków, poseł Bojnowicz, mówił niedawno w sejmie zagrzebskim: „W Peszcie życzą sobie, żeby ban był zwykłym wielkorządcą, słuchającym rozkazów węgierskiego ministerstwa. Według nas i na mocy prawa z dnia 10 stycznia 1874 r. ban odpowiedzialny jest tylko przed cesarzem i sejmem, głównem zaś jego zadaniem jest bronić przywilejów naszego królestwa. Partya niezawisłych dąży do tego, ażeby Kroacya zajmowała wobec Węgier takie stanowisko, jak Węgry względem Austryi. Każde postanowienie wychodzące z Pesztu winno być potwierdzone w Zagrzebiu.“ Laveleye utrzymuje, że ustrój tak powikłany uczyniłby wszelki rząd niemożebnym—a przecież Austrya i Węgry żyją obok siebie i tworzą jedną całość. Publicysta belgijski jest zdania, ażeby rozszerzyć jaknajbardziej autonomię, dla władzy jednak centralnej pozostawić pewną sferę zadań, których rozstrzygnięcie zależałoby od jednego i jedynego parlamentu. Jeżeli każda uchwała ma wymagać potwierdzenia kilku izb rozmaitych, machina parlamentarna nie będzie się w stanie poruszać.

Partya skrajna dąży do obalenia ugody. Równie jak radykalni węgierscy, domagający się tylko unii dynastycznej z Austryą, skrajna lewica kroacka żąda zupełnej niepodległości trójjodynego królestwa (Kroacyi, Dalmacyi i Slawonii), związanego z całością monarchii tylko unią osobistą. Najbardziej wysunięci naprzód członkowie tej grupy są republikanami i socyalistami. Młodzież chętnie się łączy z krańcowymi. Przywodzą partyi dwaj Starcewicze. Urzędowym jej wodzem jest baron Rukawina.

Polityka węgierska w Kroacyi—kończy Laveleye—nie wydała dotąd pożądanych owoców. Dążenie do rozszerzenia zakresu działań władzy centralnej wywołało w kraju opór ogólny i zaogniło stosunki. Austrya mimo wszelkich usiłowań biurokracyi nader zręcznej i wytrwałej nie zdołała zgermanizować kroatów, gdy uczucie narodowe było jeszcze słabo rozwinięte, mimo że język niemiecki niósł cywilizacyę daleko posuniętą, reprezentował bogatą literaturę, naukę, i był łącznikiem z Zachodem. Madziarom zadanie podobne nie uda się tem bardziej dziś, kiedy kroaci posiadają swoją prasę, literaturę, teatr, uniwersytet, szkoły wszystkich stopni i kiedy odkrywa się przed nimi rozległy widnokrąg po za Sawą i Dunajem, wspaniałe nadzieje rozszerzania się i wielkości, podtrzymywane jednocześnie historycznemi wspomnieniami i nadziejami demokracyi.

Wobec tego, co zyskają—pyta Laveleye—węgrzy na centralizacyjnych i madziaryzacyjnych szykanach? Tisza dąży, podobnie jak Schmerling, do stworzenia jednolitego rządu na wzór Francyi lub Anglii. Trzeba atoli liczyć się z oporem, gdy jest on nieprzełamanym. Źle by się przytem wybrał minister węgierski, gdyby narażał dziś na szwank ugodę węgiersko-kroacką. Ustępstwa, zrobione Czechom przez gabinet Taafego, wzmagają siły i nadzieje partyi narodowej kroackiej. Prócz tego panowie feodalni, tak wpływowi przy dworze, popierają żądania słowian przeciwko węgrom, ci bowiem ostatni reprezentują w ich oczach liberalizm i demokracyę. Autor radzi przytem węgrom nie zapominać o następującej możliwości. Unia Austryi z Węgrami przedstawia tyle trudności w zastosowaniu, że może kiedyś doprowadzić do starcia między obu połowami monarchii. Cóżby węgrzy wygrali, gdyby w tym wypadku mieli w kroatach nieprzejednanych wrogów? W interesie korony św. Szczepana leży jednanie sobie raczej sprzymierzeńców z tej strony. Przewaga, jaką wywierają dziś węgrzy w całych Austro-Węgrzech, jest świadectwem wyższości ich mężów stanu—nie należy jednak zapominać, że w miarę rozwoju

---

sprawia taką przykrość. Jeśliby go kto znalazł, dacie nam znać.

Matka Benedykt nie rzekła ani słowa, ale to wszystko wydało jej się bardzo niejasnem.

Naraz zawołała:

— Otóż i mój!

Ona pierwsza go spostrzegła, gdyż stała wprost drogi.

Pan Apreval drgnął, pani Cadour o mało nie spadła z krzesła, zwracając się gwałtownie ku wrotom.

O parę kroków wieśniak przygarbiony, zziajany, ciągnął na sznurku krowę i wcale nie zwracając uwagi na nieznajomych, powtarzał:

— Przeklęte bydlę, nużc!

I przeszedł, a następnie wprowadził krowę do obory.

Łzy znikły nagle z oczu kobiety; z osłupieniem, bezprzytomnie prawie patrzała za odchodzącym. Jej syn, to był jej syn!

Apreval, dotknięty także widokiem, jakiego się prawdopodobnie nie spodziewał, zapytał niepewnym głosem:

— Czy to istotnie pan Benedykt?

— A skądże wiecie o jego nazwisku? — spytała wieśniaczka z nieufnością.

— Wymienił mi je kowal, mieszkający na skraju wioski.

Wszyscy zamilkli, mając zwrócone oczy ku drzwiom obory, z poza których dochodził jakiś szelest, odgłos jakiegoś ruchu i kroków przytłumionych.

Nareszcie ojciec Benedykt ukazał się na progu obory, ocierając uznojone czoło i idąc wolno, ociężale, skierował się ku domowi.

Jeszcze raz przeszedł około nieznajomych, nie zwróciwszy na nich uwagi, jakby ich nie widział i rzekł do żony:

— Pić mi się chce, przynieś dzbanek jabłecznika.

Wyrzekłszy te słowa, wszedł do mieszkania, a żona udała się do piwnicy, pozostawiając paryżan samych.

Pani Cadour, na pół nieprzytomna, rzekła zdławionym głosem:

— Chodźmy stąd, Henryku, chodźmy.

Apreval wziął ją pod ręce, podniósł i podtrzymując całą siłą, gdyż czuł, że co chwila może upaść, pociągnął ją, rzuciwszy przedtem pięciofrankówkę na jeden ze stołków.

Jak tylko przeszli wrota, biedaczka rozpłakała się głośno, a z głębi zakrwawionego serca wydobył się ciężki wyrzut:

— Och! och! otóż to, coś z niego zrobił!

Apreval zbladł jak ściana i odrzekł sucho:

— Zrobiłem, co mogłem. Jego folwark wart osiemdziesiąt tysięcy franków, a jest to wiano, jakiem dzieci nie wszystkich, nawet zamożnych rodziców, poszczycić się mogą.

Szli powoli, nie rzekłszy już więcej do siebie ani słowa. Ona płakała, i aż do samego Fécamp łzy spływały jej ciągle z oczu i toczyły się po zwiędłych policzkach.

Pan Cadour czekał z obiadem. Ujrzawszy ich zdaleka, zaczął się śmiać i głośno zawołał:

— A co? nie powiedziałem, że moja żona dostanie porażenia słońca. Jak ona wygląda? Doprawdy, zdaje mi się, że od pewnego czasu traci głowę!

Oboje milczeli. Kiedy jednakże mąż, zacierając wesoło ręce, spytał:

— Czyście przynajmniej ładny odbyli spacer?

Apreval odpowiedział:

— Czarujący, mój drogi, w całem tego słowa znaczeniu — czarujący!

Tłom. *Kasylda K.*

oświaty i demokratyzowania urządzeń krajowych coraz trudniej jest mniejszościom zapewnić sobie przewagę. Pośród zaś słowian, niemców i rumunów węgrzy są w mniejszości. Rzeczą więc jest niebezpieczną przyprowadzać do ostateczności tych, którzy wcześniej lub później dadzą uczuć swą przewagę liczebną.

Deak znalazł już dawniej rozwiązanie zagadnienia w równouprawnieniu wszystkich narodowości, szerokiej autonomii każdego kraju, jak w Szwajcaryi, Norwegii, Finlandyi. Porządek ten wskazany jest przez historyę i słuszność a tem łatwiejszy do zastosowania, że Kroacya tworzy państwo ściśle odgraniczone, które ma swe roczniki i starodawne tytuły, i nie stanowi, jak Siedmiogród, zlepka różnych ras i narodowości. Poszanowanie prawa i swobody—kończy autor—jest w każdym razie najlepszą polityką.

W drodze do Serbii spotyka jeszcze Laveleye studenta, słowieńca z Lublany, który jedzie na wycieczkę do Bułgaryi. Zawiązuje się rozmowa o stosunkach w Słowenii.

Obok gorących, gwałtownych nawet domagań się kroatów—mówi student—ruch narodowy między słowieńcami rozwija się spokojniej, mimo to zyskał on już na sile i skutecznie opiera się germanizacyi. Słowieńcy, gałęź słowian, która najwcześniej (?) przybyła do Europy, zajmowali ongi Styryę, Kroacyę i cały półwysep bałkański aż do posiadłości greckich. Później dopiero przybyli tu serbo-kroaci, później jeszcze turańczycy—bułgarzy. W początku wieków średnich baronowie niemieccy podbili nasz kraj i podzielili się nim. Za nimi przyszły kolonie niemieckie. Trzy czwarte Styryi są dziś niemieckie, słowieńcy jednak tworzą jeszcze całą prawie ludność Krainy. W obu tych prowincyach wraz z Karyntyą aż do bram Tryestu jest 2 miliony słowieńców.

Język ich aż do czasów najnowszych był zaledwie tylko gwarą ludową. Odrodzenie zaczęło się w r. 1835, kiedy Ludwik Gaj założył pierwszy dziennik kroacki *Hrvatske Novine*, dając znak rozbudzenia się literaturze, którą nazwano wówczas iliryjską w nadziei, że wszyscy południowi słowianie ją przyjmą.

Odrodzenie narodowe słowieńców przejawiło się jeszcze silniej po r. 1848. Powstał cały legion pisarzów i działaczy publicznych. Dziś słowieńcy mają większość w sejmie kraińskim. Język słowieński stał się językiem szkoły, katedry a nawet administracyi prowincyonalnej.

Słowieńcy marzą o wielkiej konfederacyi słowiańskiej, która rozciągnie się kiedyś od Carogrodu do Lublany i od Sawy do morza Egejskiego. Tymczasem pragnęli by się połączyć z kroatami, którzy są ich najbliższymi krewnymi językiem i zbliżeni położeniem geograficznem. Biesiadnik naszego wędrowca twierdzi, że słowieńcy nie są bynajmniej panslawistami od czasu, jak w Austryi dążyć mogą do spełnienia swych bliższych i dalszych pragnień.

KŁAMSTWA SOCYALIZMU.

IV.

W dalszym ciągu Munding poddaje surowej krytyce pojęcie humanitarności, która, jak powiada, jest chrześciańską miłością bliźniego, przetłomaczoną na język nowoczesny i stanowi etyczną zasadę socyalizmu. Nad wyrzeźbieniem tego pojęcia, zdaniem jego, mozoliło się pięć stuleci. Początek wzięło ono wśród przełomu, cechującego przejście z wieków średnich do epoki nowożytnej. Odrodzenie starożytności klasycznej zmieniło chrześciański pogląd na świat, a cywilizacyę na nowe pchnęło tory. Po nad gruzami wieków ubiegłych duch swobody osobistej ku ożywionej poszybował przyszłości. A późniejszy pochód jego znaczą olbrzymie postępy nauk przyrodzonych, wielka Rewolucya francuska i filozofia krytyczno-spekulacyjna. Występują na jaw idee narodowości, wolności i równości, zrazu trwożliwie i cicho, potem coraz śmielej i głośniej. Wśród gry fal zmiennego czasu wpływ tych idej na przekształcenie się stosunków kulturalnych to podnosi się, to opada. Rewolucya i reakcya wciąż idą po sobie, niby przypływ i odpływ. Ścieranie się owych prądów autor charakteryzuje takiemi słowami: „I rzucił człowiek szczudło wiary i podparł się kijem rozumu, ale kościoły, które zamknęła rewolucya, roztworzyła restauracya. Encyklopedyści obryzgali ideały chrześciańskie gryzącym ługiem krytyki, a w czterdzieści lat potem jeden wielki pisarz znów tworzy dzieło „o duchu chrystyanizmu.“ Z rusztowań krwawych mężowie rewolucyi każą o rozumie i humanitarności, restauracya zaś przez usta De Maistra wysławia papieża i — kata. Przeniesiona w dziedzinę społeczną nauka Darwina, wraz ze swą „walką o byt“ i „doborem płciowym,“ staje się hasłem epoki. Rozdział pomiędzy wiarą a nauką zamienia się w otchłań bezdenną...“

Naszkicowawszy rodowód humanitarności, Munding określa jej istotę, jako dążenie do wyzwolenia osobniczego. Za społeczną jej formę socyalizm uważa poczucie solidarności obywatelskiej. Poczucie to wszelako jest podstawą wszystkich społeczeństw, chociaż składające je jednostki o tem mogą nie wiedzieć. I o ile istnieje oparta na solidarności organizacya, świadomość ta nawet nie jest potrzebną. Kto wypełnia swój cel poszczególny, bezwiednie pracuje dla dobra ogółu. W socyalistyczno-humanitarnem państwie natomiast poczucie solidarności społecznej ginie we wszechmocy indywidualnej. Ogromną sprzeczność skrajnego socyalizmu stanowi właśnie to, że sili się on połączyć władztwo jednostki z jej podległością. Zapoznaje cały proces ekonomiczny, będący walką organiczną, której zdobycze gromadzą się w państwie.

I etyka socyalistyczna również pełną jest sprzeczności. Pojęcie humanizmu, służące jej za podstawę, stoi po-za nauką Darwina, na którą tak skwapliwie powołują się skrajni socyaliści. Gdzie walka się toczy, tam harmonii być nie może. Chcieć z darwinizmu wyprowadzać naukę obyczajową—jest szczytem ułudy. Darwinizm jest prawdą, niewątpliwie powinien być zastosowany i do społeczeństwa, gdzie od wieków mocniejszy wypiera słabszego. Ale w twardem tem prawie szukać zarazem pierwiastku etycznego i znajdować go—może tylko naiwność dziecięca. To, czego Darwin dowiódł, mianowicie walkę wszystkich przeciwko wszystkim i przewagę mocniejszego—skrajni socyaliści rozwadniają i homeopatyzują na jakąś „etykę naturalną,“ w której wszystko przyjaźnie podaje sobie ręce i żyje wśród niezakłóconej harmonii. Czego nie dowiódł i dowieść nie chciał—niemożliwość bytu istoty wyższej od człowieka, opatrzności, Boga—to wyczytują z jego systemu i ogłaszają jako fakt niewstrząśniony. Żaden bóg jednak, ani religia żadna odpowiadać nie mogą za przewrotności, które od tysiąców lat działy się i dzieją na świecie. Odpowiedzialność w tym razie ciąży na ludziach samych. Zawsze były dobre i zawsze będą złe osobniki, podobnie, jak dzień i noc uzupełniają się wzajem. Jeśli wszakże ludzkość celu swego będzie szukała w sobie, wtedy nie znajdzie innego pana, prócz pojedynczej jednostki, która idzie za popędem natury swojej, woli i namiętności i która, dla tego, że czuje inaczej, aniżeli inne do niej podobne,“ dąży do władzy, gdyż indywidualność pragnie nietylko żyć swobodnie, lecz i panować. W każdym człowieku kryje się despota. Na miejsce stu powag dawnego autoramentu, socyalistyczne państwo humanitarności postawiłoby tysiąc, na dziesięciu kapłanów wiary tradycyjnej przypadłoby dwudziestu ofiarników humanitarności. Panowanie tej ostatniej jest panowaniem wszystkiego, co ludzkie. Kto zaś utrzymuje, że z takiego panowania tylko dobre mogą być następstwa, ten oczywiste popełnia kłamstwo, chyba że wierzy w bezwzględną dobroć natury ludzkiej, do czego przecież potrzeba już sporej dozy zarozumiałości. Do czegoż bowiem—mówi Munding—wiara taka doprowadziła w czasach rewolucyi francuskiej? Najwięksi marzyciele i najzapaleńsi idealiści humanitarni stali się najbardziej krwi żądnymi siepaczami. Tu widzimy fantazyę zmierzającą ku niebu, opalającą sobie skrzydła w następstwie i znów spadającą na ziemię, oto rozdźwięk pomiędzy ideałem a rzeczywistością, pomiędzy chceniem a dokonaniem. Społeczeństwo, któreby podjęło lot taki i podzieliło los Ikara, popadłoby w niesłychaną reakcyę uczucia i woli. Żal do świata (Weltschmerz) stałby się ogólnem usposobieniem narodowem. I nadszedłby czas władztwa absolutnego.“ A władztwu takiemu właśnie chce zapobiedz państwo socyalistyczno-humanitarne. Zbiorowa walka o byt objawia się w niem pod postacią respubliki wszechświatowej. Chce ono obalić wszelkie szranki narodowe i ludzkość całą w jedną zlać mieszaninę. Stąd ma się zrodzić poczucie solidarności społeczeństwa ludzkiego. Uznawszy to państwo, w logicznej konsekwencyi uznać też należy respublikę socyalistyczno-komunistyczną za cel jedynie upragniony. Niwelacya narodów i ludów kończy się niwelacyą osobnika. Narody są indywidualnościami na wielką skalę; kto burzy te indywidualizmy, musi zarazem znieść właściwości osobnicze jednostek. Dziwni to zapaleńcy, którzy jednem tchnieniem ogłaszają respublikę demokratyczno-indywidualistyczną i państwo wszechświatowe, którzy marzą o wiecznym pokoju, a nie chcą zaprzestać współzawodnictwa ekonomicznego! Państwo wszechświatowe trzeba uznać za utopię i wrócić do realnych warunków indywidualności narodowej. Budować państwo takie—znaczy rozsypywać w gruzy jednostkowo objawiającego się ducha cywilizacyjnego. Człowiek przedewszystkiem należy do samego siebie, potem do państwa, jako zbiorowego pojęcia całości narodowej, a w końcu dopiero ma obowiązek uważać się za kółeczko w powszechnym organizmie ludzkości. Trójdzielne to istnienie jest prawem dziejowem, jest wyrazem woli przyrody i cywilizacyi. Jest ono faktem tysiącoletnim, którego usunąć niepodobna, tak samo, jak nie w naszej jest mocy przeinaczać prawa biologiczne bez szkody dla rozwoju naturalnego. Prądy kosmopolityczne podkopują podstawy państwa i społeczeństwa, a dążenia w tym kierunku sprowadzają zawsze rozkład sił narodowych.

Rasy i ludy wciąż przyciągają się i odpychają wzajem. Dawna świadomość szczepowa ciągle oddziaływa. Każdy osobnik narodowy wchodzi w stosunki z innymi podobnymi, popędem jego wszakże najwewnętrzniejszym zawsze jest utrzymanie punktu ciężenia odrębności własnej. Każdy bowiem rozwija się ściśle podług praw własnych. Obumierające tylko i chylące się ku upadkowi narody wchłaniają w siebie obce pierwiastki bez przerobienia. Przyjmując kształty obce, same się zniekształcają i giną. Ludy zdrowe natomiast, sięgnąwszy po żywioły nie swoje, wprzód je asymilują, przyswajają sobie troskliwie. Nie liberalne prawo natury, nie układ spo-

łeczny, którym zachwycał się Rousseau, ani jedno, ani drugie samo przez się nie tworzy państwa cywilizowanego (Kulturstaat). Państwo to raczej uwarunkowanem jest przez społeczną naturę człowieka i przez organizacyę realnych czynników pracy i własności, która stanowi podstawę wszelkiego rozwoju. Nie uwzględnili tego ani Montesquieu, ani Rousseau, ani encyklopedyści i rzecznicy idej prawno-państwowych w Anglii i Niemczech. Komunistom danem było wyciągnąć wnioski ostateczne z owych liberalnych zapatrywań na państwo. Doszli do skrajnego wyzwolenia człowieka z pod wszelkich warunków historycznych. Jest to logicznie konieczny wynik nauki o niezbywalnych prawach natury, służących jednostce. Ale budowa ta powietrzna zapada się, niby domek z kart, gdy powieją nad nią burze życia rzeczywistego.

Obliczywszy się z socyalistycznem, jak nazywa, kłamstwem humanitarności, Munding w rozdziale ostatnim przechodzi do kłamstwa państwowego. Zastanawia się on tu nad trzema pojęciami, mieszczącemi ideał państwa socyalno-demokratycznego— nad pojęciem wolności, równości i braterstwa. Pojęcia te, jego zdaniem, jakkolwiek na papierze i sztandarach spokojnie i zgodnie błyszczą obok siebie, w życiu rzeczywistem jednak zestawione, tworzą muzykę przeraźliwą, muzykę przyszłości, gubiącą się w ciągłych rozdźwiękach. „Wolność socyalistów, jest pojęciem oderwanem, fantazyą, szematem. Nie istnieje ona ani w społeczeństwie, ani w państwie, ani w jednostce. W życiu rzeczywistem są tylko swobody, swoboda zaś sama w sobie wzięta jest mrzonką, ideałem, który w każdej głowie, w każdym wieku maluje się inaczej. Gdyby dziś dać człowiekowi zupełną wolność, taką samą, jaką sobie wyobraża w najśmielszych marzeniach swoich, pomimo to nie byłby zadowolony i jutro już znów by się jej domagał. Dopóki żyje w społeczeństwie napróżno walczy o nią. Przeznaczeniem jego: schylać się i naginać, poddawać się i zespalać. Jako pustelnik jedynie—własnym jest panem. Społeczeństwo wiąże go, krępuje i trzyma w niewoli tysiącznymi sposobami. W anarchii tylko leży logika ewangielii socyalistycznej. Program anarchistów wszelako społeczeństwa nie zna, polega on na zniszczeniu powszechnem (pandestrukcyi), które pozostawia tylko człowieka osamotnionego, jedynego, pod względem ekonomicznym będącego producentem i konsumentem zarazem, wogóle zresztą obracającego się około własnej osi, będącego własnym bogiem i własnym dyabłem. Stan taki w dzisiejszych warunkach trwałby dopóty, dopóki żołądkowy proces trawienia. Po dojściu do tego stanu ludzie mieliby wybór albo wzajemnie się obrabować, pozabijać i pożreć, albo znów wrócić do niewoli życia społecznego.“

O zasadzie równości mówi Munding: „Ponieważ natura raz już stworzyła i wiecznie tworzyć będzie silnych i słabych, nierówność społeczna wiecznem jest prawem rozwoju ludzkiego. Prawo to nigdy więc usuniętem być nie może; człowiek tak samo go nie uchyli, jak nie zniesie śmierci, która też stanowi jedyne radykalne wybawienie z pod tyraństwa nierówności. Ale życie jest walką i kto z tej walki wychodzi, jako zwycięzca, ten—panem. Utrwalenie stosunków władzy prowadzi do zawieszenia broni, zwycięzca ustala swe prawa względem zwyciężonego. Położenie prawnie zostaje uporządkowanem. Nie poczucie sprawiedliwości wyrównywającej, lecz naga siła, przemoc daje początek prawu. Równość praw przedewszystkiem wymaga równości posiadania, ta ostatnia zaś równości co do siły. Czują to socyaliści i dla tego suszą sobie głowy, jakim sposobem stworzyć człowieka ekonomicznie—normalnego. Proponują w tym celu, aby państwo z urzędu zakazywało jednostkom być mądrzejszemi i pilniejszemi, aniżeli są ich bliźni. Słowem chcą inteligencyę zepchnąć do poziomu głupoty. W tem znaczeniu też socyalista francuski Lafargue znanemu „prawu do pracy“ przeciwstawił „prawo do lenistwa.“ Cokolwiekbądź, to oczywista, że byłby to przymus wywarty na indywiduach, które miałyby nieszczęście przynieść na świat ze sobą trochę więcej rozumu lub zdolności, aniżeli mają ludzie przeciętni—i ta okoliczność właśnie najlepiej wykazuje sprzeczność pomiędzy wolnością, a równością.“

Poczucie solidarności, wyrażone w haśle „braterstwo,“ wedle dalszych wywodów autora, musiałoby doprowadzić przyszłe państwo socyalistyczne do ostatecznej zagłady. O solidarności społecznej bowiem ani w dziedzinie produkcyi, ani w konsumcyi mowy być nie może. Usiłując za pomocą tej zasady zapobiedz wyzyskiwaniu jednego rodzaju, państwo socyalistyczne jednocześnie stworzyłoby rodzaj drugi. Gdyby udało mu się przygotować człowieka ekonomicznie normalnego, niechybnie ukształtowałby się stosunek odwrotny. Słaby byłby się stał wyzyskiwaczem mocnego, zbytkujący—wstrzemięźliwego, próżniak — pracowitego. Byłoby to daleko większą tyranią, niesprawiedliwością bardziej krzyczącą, aniżeli teroryzm prawa żelaznego w sposobie produkcyi prywatnogospodarczej. Wyzyskiwani w tym wypadku prędko zerwaliby się do walki emancypacyjnej dla przywrócenia dawnego stanu rzeczy. A w szeregach tych rewolucyonistów, jako sojuszniczka, walczyłaby natura sama.

Oto jest treść nowej książki Mundinga. Książka ta niejeden mieści paradoks, niejeden pogląd naciągany, o całości jednak powiedzieć można, że jest owocem głębokich rozmyślań i prawdziwego talentu, że czyta się łatwo i przyjemnie.

Autor uległ zbyt silnej i, niestety, obecnie zbyt powszechnej pokusie odskoczenia od poglądów przyjętych i uznanych. Dość tu wspomnieć o jego filipice przeciwko wyzwoleniu kobiety. Munding bierze *obecną* i wyrokuje, do czego zdolna jest *przyszła*—ukształcona, samodzielna, wolna. Możemy do syta wątpić o uzdolnieniach niewieścich, ale nie możemy w imię samych wątpień odmawiać *praw*. Czy kobieta będzie uczoną—inna kwestya, a czy ma prawo uczyć się—inna. Oto właśnie dziś przedewszystkiem chodzi. Niezależnie jednak od wszelkich braków, praca Mundinga rzuca na wiele kwestyi dużo jasnego światła.

Ad. J. Cohn.

LIBERUM VETO.

Zjazd górniczy. — Szóste mocarstwo. — Dwie grzeczne instytucye. — Odmłodzenie się *Gazety warszawskiej*. — Pp. Kenig i Korotyński. — Szczery przyjaciel swego języka. — *Gasparone*. — Dwie miary. — Duchy poważnych i wesołych mistrzów. — Potok szeroki i wązki.

W Warszawie odbywa się zjazd górników. Tak przynajmniej donoszą dzienniki. Skąd one o tem wiedzą? Czy reporterzy wyśledzili ów wiec i w czapkach-niewidymkach przysłuchają się jego obradom, czy też redakcye „pism poważniejszych“ otrzymały zawiadomienia i karty wejścia? Bądź co bądź, niema jak teatry warszawskie. Wprawdzie nawet „pismom poważniejszym“ nie dają biletów stałych lub jednorazowych, wprawdzie ich kasyerki uznają przywileje „szóstego mocarstwa,“ o ile jego posłowie przepychają się do okienka mocniejszymi łokciami; ale ostatecznie kto posiada pieniądze i mocne łokcie, a jeszcze przytem „stosunki,“ na pierwsze przedstawienia bilety zdobędzie. Tymczasem co zrobić z jakąś konferencyą leśną lub górniczą? Ten i ów czytelnik chce wiedzieć, o czem tam ludzie radzą, a „szóste mocarstwo“ nie może zadowolić jego ciekawości, bo znajduje drzwi zamknięte. Nieraz czytam w gazetach zagranicznych skargi na to, że przedstawiciele prasy nie zostali dopuszczeni do jakiegoś zgromadzenia. Ach, kapryśni — myślę sobie wtedy — gdybyście wiedzieli, jakich praw u nas używa „szóste mocarstwo!“ Są tylko dwie instytucye, które o niem zawsze pamiętają: teatrzyki ogródkowe i Towarzystwo osad rolnych przy urządzaniu prelekcyj. Teatrzyki są tak grzeczne, że jeden z nich chciał przeznaczyć podobno osobne krzesło redakcyi *Przyjaciela zwierząt*, a tak pobłażliwe, że na miejscach redakcyjnych znoszą obecność roznosicieli pism. Grzeczność ową chwalę, chociaż z niej nigdy nie korzystałem i moje rzadkie odwiedziny opłacałem w kasach coraz biedniejszych trup prowincyonalnych. I w tej chwili też chodzi mi nie o podatek dla prasy, ale o uwzględnienie jej słusznych potrzeb. Jako przewodniczka ogółu, objaśniająca go i ucząca, powinna mieć zapewniony wstęp wszędzie, gdzie opinia publiczna ma prawo zajrzeć.

Niema dziś pisma w Warszawie, któreby mi sprawiało taką przyjemność, jak *Gazeta warszawska*. Sędziwa staruszka, która dotąd była głuchą na wszelkie uwagi, oniemniałą na wszelkie światła po za polityką płonące, która wzgardliwie patrzyła na skoki swych współzawodniczek, jak babka z dobrego i zamożnego rodu, nagle, od paru tygodni zaczęła krzątać się, ruszać, czytać, mówić o takich przedmiotach, na które dawniej tylko wzruszała ramionami. Ocenia nowe książki, zamieszcza sprawozdania naukowe, zabiera nawet głos w sprawie *Gasparone'a*. Zdaje mi się, że widzę matronę, która ciągle kładła kabałę (polityczną) i dozorowała panien respektowych, wyszywających ornaty i haftujących komże, aż pewnego dnia wszedł rządca z doniesieniem:

— Mosiek nie chce kupować zboża, bo powiada, że chude i że cepami nie omłócimy na termin, a jutro przypada rata Towarzystwa.

— Trudno, mój Kozicki, sprzedaj karetę, konie cugowe, i ratę zapłać. Zaczniemy pole uprawiać inaczej, kupimy młocarnię i żniwiarkę, chociaż nieboszczyk ś. p. mój mąż bez tych głupstw dobrze gospodarował.

Tak wygląda *Gazeta warszawska*. Lubię młodość, ale lubię także odmładzającą się starość. Dlatego stuletnia babka naszych dzienników, pragnąca dotrzymać kroku swym wnukom, sprawia mi przyjemność. A nie sądźcie, żeby to był jedynie daremny wysiłek, po którym nastąpi omdlenie. Szanowna matrona bowiem posiada jeszcze wiele zasobów życia i wiele talentu. Głową jej stanowi p. Kenig, a ręce — p. Korotyński. Że pierwszy jest zdolnym pisarzem politycznym — powszechnie wiadomo, ale że drugi jest na swojej niwie wybornym pracownikiem — również nie ulega wątpliwości. Jakkolwiek p. Korotyński, ukryty w rozmaitych krzaczkach, puszcza nieraz ku nam z łuku swe w piołunie maczane strzały, przyznaję, że nie jest to literat z przypadku, który, straciwszy posadę przy szosie lub zarządzie kolejowym, ujął pióro autorskie. Pomijam jego poezye, przed którymi nigdy nie zginało mi się kolano i nie spadł z głowy kapelusz; pomijam jego sławne wywody naukowe, w których zwykle upewnia, że każdy nowoczesny reformator wiedzy powtarza tylko gorzej i bezbożniej to, co lepiej i religijnie wypowiedział już w XVI lub

XVII wieku jakiś ksiądz polski; to są słabostki. Mocą zaś p. Korotyńskiego jest dużo oczytanie w literaturze polskiej, talent pisarski i staranność, a nawet pewna wytworność w wysłowieniu. Komu obrzydły owe — darujcie trywialny, ale najodpowiedniejszy tu wyraz — pomyje językowe, jakiemi nalewa swe kolumny znaczna część naszej prasy, kto przeklina hultajski bigos ze skrawków francuskich, niemieckich, żydowskich, rosyjskich, podlany sosem polskim, kto odczuwa krzywdy naszej własnowolnie kaleczonej, oszpeconej mowy w pismach peryodycznych, ten wraz ze mną oceni zasługę dziennikarza, który w robocie pospiesznej nie popuszcza nigdy pasa swej mowie. To też *Gazeta warszawska* stroną swą językową należy do pism najstaranniej redagowanych. Proszę czytać jej przeglądy polityczne (pisywane podobno przez p. Korotyńskiego), to są artykuły prawdziwie literackie, a nie dziesięciojęzyczne dyabelstwa innych gazet. Tu do mnie przemawia polak rzeczywisty i pisarz zdolny, a tam jacyś komiwojażerowie polityczni, paplący wszechświatową gwarą. Wiać, odsiewać, czyścić tę gwarę przysyłaną do pisma zblizka i zdaleka — to mozoł straszny, to ciężkie roboty literatury. Szczęśliwy redaktor, który skazawszy się na nie, ma zdolnego i sumiennego pomocnika. A takim szczęśliwym redaktorem jest właśnie p. Kenig. bo nie potrzebuje sam wydmuchiwać plew z ziarna. Jest więc *Gazeta* urną ładną, w której dotąd mieściły się popioły — czy się napełni sokami życia? Probuje — czekajmy.

Jak rzekłem, nawet ta staruszka zabrała głos w sprawie *Gasparone'a*. Ściśle biorąc był to obowiązek każdego „aktualnego“ dziennika. Szanowny mój czytelniku z pod Kielc lub Zamościa, przypuszczasz zapewne, że myśl Warszawy kręci się obecnie około Bułgaryi, wygnańców niemieckich, biedy ogólnej itd. Gdzie tam! Osią tej myśli jest *Gasparone*, codzień grywana, słuchana, powszechnie śpiewana i chwalona operetka. Może by kapłani krytyczni gwizdali sobie jej walce, pomrukując dla przyzwoitości smętne melodye o losach „prawdziwej sztuki,“ gdyby dyrekcya, pragnąca liczniejsze zastępy uraczyć, nie przeniosła *Gasparone'a* z teatru Małego do Wielkiego. Lwy, strzegące podwojów przybytku „prawdziwej sztuki,“ najeżyły grzywy i zaryczały. „Zbezczeszczono świątynię“ — i „Plac Teatralny“ tem, do czego służyć mogła „tylko Danielewiczowska ulica.“ Wejrzałem w siebie — nic mnie nie zabolało, wejrzałem w innych — i innych nic nie zabolało, ale jako opiekunowie „spłakanych ideałów“ musieli z urzędu ten smutek odcierpieć. Było to cierpienie lekkie, krótkie, udane. Po każdem westchnieniu żałobnik dla pocieszenia się szedł na *Gasparone'a* i bawił się wybornie. La-la-la — cudowne! Ale na jaką nizinę zszedł nasz teatr, w którym przebywają duchy Mozarta, Meyerbera, Verdiego, Moniuszki? La-la-la — okropne czasy! Jestże to tylko obłuda? Jeszcze coś więcej. Gdy Michał, odebrawszy pieniądze na „fercentag,“ „urznie się“ w szynku i padnie na ulicy, musi wytrzeźwić się w cyrkule i odpokutować grzech: w statystyce, w kazaniach kościelnych, w artykułach dziennikarskich. Ale gdy pan Michał „podchmieli sobie“ u Stępkowskiego, przyjaciele zawiozą go do domu i otem nic dowie się ani kaznodziejstwo, ani statystyka ani prasa. Podobnież, gdyby *Gasparone'a* zagrano tylko dla arystokratów, literatów, artystów — dla „śmietanki społeczeństwa“ — nie byłoby w tem nic złego, ale ponieważ tego samego źródła pije tłum — zgroza!

A teraz słówko o „duchach“ mistrzów muzyki poważnej. Radbym wiedzieć o jakich to „duchach“ dzienniki najskwapliwiej donoszą? Lecoq napisał nową operetkę, która... Souppe wykończył nową operetkę, która... Strauss wystawił nową operetkę, która... Tymczasem o „duchach“ mistrzów muzyki poważnej“ słyszymy bardzo rzadko — o ile nie ukazują się — w anegdotach. I ci ludzie potem żądają, ażeby ogół nie tłoczył się na przedstawienia *Gasparone'a*! Szczególna pretensya!

W duchowem życiu naszem szeroką nawą płynie moralizatorstwo, frazeologia sztucznych oburzeń, zdawkowa „cześć dla ideałów“ i tym podobne strumienie, ale rzeczywista, głęboka powaga sączy się słabo i pod jej krople nawet lekarze „smaku artystycznego“ niechętnie podstawiają swe kubki. Starych mistrzów sławimy, bo tak przyzwoitość zaleca, ale że nas bardziej zachwycają walce z *Gasparone'a* lub humor *Męża z grzeczności* — to fakt. Sztuka, jak każda kobieta „porządna,“ powinna być ładna, ale nie mądra — wtedy nam się podoba.

Poseł Prawdy,

NA WIDNOKRĘGU.

Jedyne praktyczne przepisy przyrządzania dziadowskiego krupniku. — Projekt p. Filipowicza. — Podstawa lubelskiego konserwatyzmu. — Ograne melodye. — Ciężary gminne. — Bezrobocie w Żyrardowie.

Czytelnicy nasi znają bezwątpienia powiastkę ludową o żebraku, któremu skąpa gospodyni odmówiła wsparcia i pozwoliła tylko postawić na kominie garnek z wodą. Do garnka tego sprytny dziad włożył kołek, zaczął gotować zupę, przymawiając się zręcznie to o trochę krup, to o szczyptę soli, to wreszcie o odrobinę okrasy, i przyrządził tym sposobem niezły krupnik, który smakował nawet naiwnej gospodyni. Trafnie bardzo opowiadanie przedstawia dziada jako starego wojaka—tułacza, któremu rany a zwłaszcza zwątpienie o własnych siłach przeszkadzają po prostu wziąść to, co mu potrzeba, duma zaś nie pozwala błagać na nowo, kiedy już raz otrzymał odmowę. Żołądek próżny tymczasem dopomina się o swoje prawa, dla zaspokojenia tych żądań pozostaje jedyna tylko droga—naiwny wybieg, za który rozgrzeszyłby żołnierza sam nieboszczyk Kato, gdyby zmartwychwstał i w podróży z pól elizejskich na ziemię wygłodził się należycie. Nie spodziewał się jednak ów żebrak, że jego dowcipny figiel przyjmie kiedyś potomność jako wskazówkę postępowania i sposób przyrządzania krupniku dziadowskiego podniesie do godności programu. Toż to by się ucieszył poczciwy staruszek!

W ostatnich czasach probowaliśmy kilkakrotnie gotować krupnik, według rady „jedynych praktycznych przepisów“ starego dziada, zawsze jednak brakowało czegoś: to kaszy, to soli, to słoniny, nareszcie z trudem wielkim można było znaleźć nawet kołek, którego nieraz szukać było potrzeba aż w cudzym lesie. W roku zeszłym niestrudzeni naśladowcy dziada wyciosali nowy kołek i przywieźli go do Warszawy; za przykładem ich poszli inni i odrazu na kilku kominach zaczęto warzyć „krupnik dziadowski.“ Jakkolwiek w zupie tej nie widać dotychczas innych przypraw, a nawet z kółka jeszcze nie wygotowano należycie smaku, mieszkańcom Radomia i okolicy zachciało się własnego krupniku i oto wkrótce otwarty zostanie w tem mieście oddział Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu. Dotychczas zapisało się już 39 członków, w tej liczbie 8 obywateli ziemskich, których organ miejscowy nawołuje do licznego uczestnictwa, twierdząc, że rolnictwo, pozbawione nietylko garnka, ale i kołka, potrafi przy jednym ogniu i dla siebie ugotować jaki taki krupniczek.

Zapewne z tej samej zasady wychodził p. K. Filipowicz przedstawiając warszawskiemu Towarzystwu popierania przemysłu i handlu swój projekt „biura dla ziemian, którego zadaniem ma być pośrednictwo w urządzaniu gospodarstw wiejskich, zakładów przemysłowo-rolnych, pasiek, stawów; stręczenie odpowiednich specyalistów; ułatwianie sprzedaży i dzierżawy majątków oraz wyszukiwanie kredytu. Na posiedzeniu Towarzystwa wielu członków oświadczyło się przeciw projektowi, ponieważ według ich zdania biuro byłoby „jakąś akademią ekonomiczno-handlowo-przemysłowo-rolniczą,“ niektóre zaś jego czynności wchodzą w zakres działania towarzystw rolniczych. Uwaga bardzo słuszna, ale p. Kłobukowski, który ją wygłosił, wie bardzo dobrze, że towarzystw takich u nas niema, a nawet drzewo, z którego możnaby wyciosać ten kołek, jeszcze nie wyrosło. Inna rzecz, czy przedsiębiorstwo prywatne potrafi należycie spełniać tak różnorodne działania. Stary żołnierz powiedziałby, że nawet z podeszwy ugotować można krupnik, mnie, co prawda, nie bardzo smakuje ta zupa, w której wiecznie jakiejś przyprawy brakuje.

Jeżeli nieboszczyka dziada uważać można za prarodzica partyi postępowej u nas, to bezimienny korespondent *Gazety lubelskiej* jest ostatnim wyrazem rodzimego konserwatyzmu. Przejechawszy kilkadziesiąt wiorst po drodze tak zepsutej, jak tylko u nas bywają drogi w jesieni, polityk lubelski dodaje: „ogół klnie lecz po cichu, żeby jeszcze czego gorszego nie wymyślili.“ Trudno w samej rzeczy wymyślić coś bardziej nierozsądnego a jednak rzeczywistość stwierdza niejednokrotnie słuszność obaw lublinian.

Nie po cichu, ale głośno klęła prasa chedery żydowskie i wydzwoniła wreszcie pożądaną reformę. Obecnie szkoły te ulegać będą ścisłej kontroli władzy, co wpłynie bezwątpienia na zmianę wołających o pomstę warunków hygienicznych. Wykład wszystkich przedmiotów odbywać się będzie w języku rosyjskim, umożliwi to asymilacyę ludności żydowskiej... w szerszym zakresie.

Zaczynając od najcichszego *pianissima* ubolewań aż do głośnego *forte* złorzeczeń, skarżą się i przeklinają ciężkie czasy, mieszkańcy prowincyi. W jesieni najwyższymi tonami brzmią utyskiwania na stan dróg, które dochodzą nas ze wszystkich gubernij królestwa wraz z przyległościami i przynależytościami, ale prawdziwe *cis górne* wydobywa się z piersi podlasian. „Wskutek ulewnych deszczów wszystkie bez wyjątku drugo i trzeciorzędne drogi w gubernii uległy zniszczeniu“—śpiewają korespondenci krótko, ale wymownie.

Na utrzymanie tych pułapek, w które wpadają nieświadomi stanu rzeczy podróżni, bo miejscowi obywatele zimą i latem objeżdżają je zawsze, bądź „bez Walkową łączkę,“ bądź „bez dworskie żytko,“ płacą gminy królestwa w pieniądzach i naturze przeszło milion rubli rocznie, co stanowi trzecią część wszystkich ciężarów gminnych. Wogóle, jak oblicza *Gazeta warszawska*, obywatele i włościanie wnoszą rocznie około 4 milionów rubli na opłacenie administracyi gminnej, sądów, szkół i utrzymanie w porządku dróg bocznych. Suma ta wynosi połowę wszystkich podatków stałych, płaconych przez ogół mieszkańców Królestwa, składają się zaś na nią tylko dwory i gromady. Przemysłowcy i kupcy, jakkolwiek w porównaniu z rolnikami mniej płacą podatków rządowych, nie ponoszą żadnych ciężarów na rzecz gmin, chociaż w sądach np. w większości spraw cywilnych występują jako strony zainteresowane. Nowa-Praga, Żyrardów, Sosnowiec, Dąbrowa i wiele osad fabrycznych stanowią gminy wiejskie, wszystkie wydatki jednak ponosi nieliczna lu-

dność rolnicza. *Dziennik warsz.*, który podniósł tę sprawę, wykazuje, że przemysł nietylko sam uwolniony jest od wszelkich ciężarów, ale zwiększa jeszcze brzemię dźwigane przez rolników. W gub. Kaliskiej, zajmującej 1,523,000 morg przestrzeni, składki gminne (bez wydatków na utrzymanie dróg) wynoszą 203,141 rs.; w mniejszej, ale przemysłowej gub. Piotrkowskiej z 1,372,000 m. obszaru płacą mieszkańcy 304,000 rs. Wystąpienie organu urzędowego budzi nadzieję, że niesprawiedliwość ta usuniętą będzie wreszcie w drodze prawodawczej. Ziemstwa w Rosyi pociągają do opłat przemysłowców i handlujących; gminy nasze, które są, nie jak w Cesarstwie, instytucyami włościańskiemi, ale raczej najniższymi i jedynymi organami samorządu miejscowego, posiadają niezaprzeczenie te same prawo. Cztery miliony rubli—to wyniesie blisko 25 kop. na morgę, ciężar znaczny, zwłaszcza zaś dopełniony przeświadczeniem, że sądy, szkoły i administracye gminne znajdują się w stanie nie wiele lepszym, aniżeli drogi.

Wątpię, czy robotnicy żyrardowscy czytają *Gazetę lubelską*.

Według sprawozdania *Warsz. Dn.* rzecz tak się miała. Zarząd fabryki skrócił pracę o godzinę na dobę i zmniejszył odpowiednio płacę robotników. Przy zwykłym obrachunku dwutygodniowym, ślusarze zażądali zwykłej wypłaty, grożąc bezrobociem. Naczelnik powiatu błońskiego przybył natychmiast do Żyrardowa i otrzymał od zarządu fabryki takie wyjaśnienie: praca przy świetle nie opłaca się, zmniejszenie zaś zarobku jest nieznacznym, na dwa tygodnie bowiem wynosi $^3/_4$ dnia roboczego. P. Naczelnik powtórzył to robotnikom, którym objaśnienie trafiło do przekonania i spokojność została przywrócona.

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 5 listopada.

Konferencya przedstawicieli mocarstw uległa kilkudniowemu odroczeniu, ponieważ rząd turecki zwlekał z zamianowaniem drugiego delegata. Obecnie obrady rozpoczęły się już i odrazu zarysowała się bardzo wyraźnie różnica pomiędzy poglądami na sprawę bułgarską państw zachodnio-europejskich i trzech mocarstw. Anglia zwłaszcza stanowczo oświadcza się przeciw przywróceniu poprzedniego stanu rzeczy.

Grecya za przykładem Serbii ogłosiła także notę, w której oświadcza, że nie może zgodzić się na pogwałcenie przez bułgarów postanowień kongresu berlińskiego, chyba... że dadzą jej odpowiedni kawałek Macedonii lub Epiru. Dla poparcia żądań swych rząd ateński zaciąga nowe długi i uzbraja armię, wysłańcy zaś jego podburzają do powstania kandyotów.

Na zapytanie węgrów w komisyi delegacyjnej odpowiedział hr. Kalnoky, że rząd austryacki pozostaje z Niemcami w stosunku „szczerej ufności,“ z Rosyą zaś w „stosunku przyjaznym,“ chociaż między obydwoma państwami istnieją różnice zdań, które zapewne dadzą się usunąć. Jakie to są różnice — dotychczas nie wiadomo, bo jawnie i otwarcie prasa urzędowa rosyjska podziela pogląd Austryi o konieczności „przywrócenia porządku“ na półwyspie Bałkańskim.

Odpowiedź Kalnoky'ego dotyczy także Serbii. Minister zrzuca z siebie odpowiedzialność za zawadyackie wystąpienie króla Milana i oświadcza, że Austrya ani zachęcać Serbii, ani obiecywać jej niczego nie może. Wkońcu oświadcza, że statut organiczny Rumelii wymaga zmian i poddany zostanie rewizyi. A więc to już nie bezwzględne *status quo*, idzie więc teraz o to tylko, jak daleko sięgną te zmiany.

Cokolwiek przyszłość im przyniesie, bułgarzy jednak nie tracą nadziei, zbroją się i gotują do walki, ufni w dobry rezultat swej słusznej sprawy.

W początkach tego tygodnia odbyły się w Prusach wybory delegatów t. z. *Wahlmänner*, którzy dopiero wybierać będą posłów. Jakkolwiek to powtórne głosowanie skończy się dopiero w piątek, można już jednak teraz sądzić o przyszłym składzie sejmu pruskiego. Zachowawcy zyskali kilka głosów, ale daleko im jeszcze do większości, będą więc musieli wejść w sojusz z narodowo-liberałami, którzy dzięki poparciu rządu zdobyli także parę mandatów więcej. Zszarzane to stronnictwo poniosło wszakże haniebną porażkę w Berlinie, kandydaci jego w porównaniu z wolnomyślnymi mają w dziesięćkroć mniejszą liczbę głosów. Nie wiadomo, ilu polaków przejdzie obecnie w Prusach Zachodnich i Poznańskiem, ale z góry powiedzieć można, że tegoroczne wybory będą dla nas niepomyślne. Okręg wiejski Oborniki-Poznań stracony przez niedbalstwo, inny znowu przez pobożność, bo zamiast do sali wyborów, ksiądz i chłopi poszli za pogrzebem swego rodaka na cmentarz.

Książe Albert pruski mianowany regentem Brunświku objął już rządy i w wstępnej przemowie podziękował mieszkańcom za wybór. Niemiłą niespodzianką dla nowego władcy jest wysłany z Brunświku do księcia kumberlandzkiego adres opatrzony 17,000 podpisów. Na dwakroć kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców ładny to odsetek.

Anglicy naprawdę zaczęli wojnę z Birmą, pierwsze oddziały wojsk indyjskich wyruszyły już w drogę.

Trzeci minister w ciągu krótkiego przeciągu czasu był przedmiotem zamachu. Tym razem kolej przyszła na p. Freycineta; strzelił do niego niejaki Mattei, który pokrzywdzony osobiście pragnął w ten sposób zwrócić na siebie uwagę.

Sejm galicyjski zwołany zostanie w końcu listopada, zaraz po ukończeniu obrad delegacyj wspólnych.

CUDZE GŁOSY.

N. Freie Presse daje następującą lekcyę hr. Taaffemu za jego odpowiedź na interpelacyę galicyan.

„Odpowiedź prezydenta ministrów wywołała wrażenie, nietylko w gronie posłów polskich. Otwarcie wyznajemy, że takiej odpowiedzi najmniej się spodziewaliśmy. Interpelanci powołali się na traktat handlowy z Niemcami i wywodzili z niego, iż poddani austryaccy posiadają prawo do swobodnego osiedlania się w Prusach dla prowadzenia tamże handlu i przemysłu. Rząd austryacki miał tedy obowiązek zbadać pytanie: jakie prawa dla austryackich obywateli wynikają z obowiązującego traktatu handlowego, a z ust hr. Taaffego słusznie oczekiwano, *czy rząd austryacki widzi naruszenie traktatu handlowego lub nie*. Odpowiedź jednak na interpelacyę pomija ten punkt drażliwy i oświadcza sucho, że powołując się na traktat handlowy, nie można się spodziewać przychylnego skutku, ponieważ rząd pruski wydalenia te uważa za czysto wewnętrzne rozporządzenia, wywołane zwichnięciem stosunków wyznaniowych i językowych.

Ale nie o to chodziło, lecz o to, z jakiego stanowiska rząd austryacki zapatruje się na to rozporządzenie. Czy i on skłonny uważać je za czysto wewnętrzne, i czy jest zdania, że pewne kroki administracyjne nawet wtedy pozostają „wewnętrznymi,“ jeżeli naruszą traktaty międzynarodowe?

Odpowiedź rządu pruskiego zawiera szorstką odmowę, a szorstkość tonu uderza tembardziej, że należy pamiętać, iż pytanie wychodziło od mocarstwa zaprzyjaźnionego.

Jutro przypada rocznica słynnego odwołania edyktu nantejskiego. Przed dwoma wiekami hugenoci wypędzeni z Francyi znaleźli przytułek gościnny w Prusiech. Czyż w tym kraju zaginęły już tradycye wielkiego kurfirsta? Wszak zwichnięcie ekonomicznych stosunków nie byłoby słabszym argumentem do wypędzenia, jak względy wyznaniowe i narodowe.“

„Hr. Taaffe wswych wyjaśnieniach przytoczył, że rząd austryacki robił kroki w tej sprawie w Berlinie, lecz one nie zostały dobrze przyjęte. Kancelarstwo niemieckie odpowiedziało, że sprawa to wyłącznie wewnętrzna i że wypędzanie polaków jest środkiem porządku wewnętrznego, wywołanym sytuacyą wyznaniową i antagonizmem plemiennym. Hr. Taaffe nie znalazł ani jednego słowa na zaprotestowanie przeciw tej teoryi. Przeciwnie, zdawał ją się popierać jeszcze, bo oświadczył, że w sprawie narodów nie znajduje żadnej podstawy, któraby pozwalała rządowi austryackiemu obstawać przy tem, aby Prusy odwołały rozporządzenie banicyjne przeciw polakom.

To, co się dzieje, jest nowością przynajmniej w XIX wieku. Popadamy w system rzymski: „cudzoziemcom niechaj da się uczuć ciągle władza.“ Lecz możnaby zapytać, coby się stało, gdyby jakie państwo przeciw Niemcom użyło tych samych środków surowych? Niemcy, można być tego pewnym, znalazłyby w prawie narodów i po za niem dość argumentów dla skutecznej obrony swych poddanych.

Odpowiedź, jaką dał hr. Taaffe p. Grocholskiemu, bardzo przykre sprawiła wrażenie. Żaden rząd w obronie interesów swoich poddanych *nie okazał więcej słabości.*“

PRASA ROSYJSKA.

Graždanin jeszcze w d. 17 z. m. podzielił się z czytelnikami swemi rozmową, którą redaktor tego pisma prowadził z pewnym rosyjskim dyplomatą. Poglądy tu wypowiedziane, tak wyraźnie teraz się ujawniają, iż możnaby wierzyć, że książe-redaktor ma dostęp, jeżeli nie do kancelaryj, to do salonów dyplomatycznych.

Oto ustęp z owej pogadanki:

—„Nic nowego? — zapytałem. — Czy czytałeś pan artykuł w *Journal de St. Petersbourg*? — odpowiedział. — Czytałem, lecz nie znalazłem nic nowego. Ale powiedz mi pan proszę, czy istotnie koncert europejski doszedł do jakiego postanowienia? — „Il en prend le chemin“ (wstąpił na drogę ku niemu), była odpowiedź. — Zatem wszystko będzie załatwione na podstawach traktatu berlińskiego? — „A peu près“ (mniej więcej).—A wojna nie grozi z żadnej strony? — Broń Boże.— To znaczy innemi słowy, że Serbia i Grecya będą uspokojone, w Bułgaryi poprzedni porządek zaprowadzony, a przewrot filipopolski z historyi wymazany?— „A peu près.“—Ale racz mi pan jedno objaśnić: Z artykułu w *Journal de St.-Pétersbourg*, który znów jest streszczeniem artykułu księcia Bismarka w *Nordd. Allg. Ztng.*, można wnioskować, że książę wcale nie jest zadowolony z wojennych postaw Serbii i Grecyi?— Najzupełniej prawda.— Jako odpowiedź na te postawy grozi im najściślejszem zastosowaniem traktatu berlińskiego, to jest uznaniem Bułgaryi jako Bułgaryi, a Rumelii jako Rumelii, czyli co na jedno wychodzi, oświadcza, że za wybryki, jakie rozpoczęły Grecya i Serbia, tylko jedna Bułgarya odpokutuje... Niekoniecznie to zrozumiałe a w pewnej mierze niesprawiedliwe. Albo wszyscy muszą być ukarani, albo nikt. W ten sposób nie rozwiązujemy dylematu.—„Enfin on avisera“ (pomyśli się o tem), odrzekł dyplomata, i na tem koniec.“

Ruś lituje się nad położeniem opuszczonej obecnie przez Rosyę Bułgaryi.“

„Okrutnie ukarała Rosya całą Bułgaryę za winę kilku osób, odwołując swych oficerów. I czy

samą tylko Bułgaryę? Jakże to będzie z nami samymi, jeżeli teraz miejsce rosyjskich instruktorów i dowódców zajmą pruscy, angielscy i austryaccy? A przecież owe 75,000 wojska bułgarskiego w Księstwie i Rumelii, jest dziełem oficerów rosyjskich. Wojsko to wyćwiczone całkiem po rosyjsku, nieznające innej komendy oprócz rosyjskiej, uzbrojone nawet w broń rosyjską—to nasza siła, nasza armia rosyjska na półwyspie Bałkańskim! Służąc Bułgaryi, jakąż jednocześnie usługę mogła oddać ta armia samej Rosyi i całej Słowiańszczyźnie!... I wszystko nagle sami w ciągu jednego dnia zniszczyliśmy! I komu wyświadczyliśmy przez to przysługę? Wrogom naszym wszystkim wogóle i każdemu z osobna. Lecz za to „Europa“ z nas zadowolona...“

St. Petersb. Wiedomosti w artykule zatytułowanym „Wielka sprawa“ podają treść ciekawych wspomnień niejakiego Władimirowa, jednego z „działaczów“ w północno-zachodnim kraju.

„Autor „Wspomnień“ przedstawia siebie przed czytelnikiem, jako prawdziwego twórcę projektu odpolszczenia katolicyzmu w Rosyi zachodniej, innemi słowy — projektu wprowadzenia języka rosyjskiego do polsko-katolickiego rytuału, lubo w istocie projekt ten był opracowany w piśmiennictwie przez całkiem inną osobę, a w rzeczywistości zaproponowany i wywalczony przez biuro b. kuratora okręgu naukowego wileńskiego. Zresztą chodzi tu zgoła nie o prawo autorstwa; to wszakże tylko nie ulega wątpliwości, że projekt stworzony został nie w obozie wyznawców i uczniów M. N. Murawiowa i jego polityki. Przy hr. Murawiowie — mówi p. Władimirow— autor projektu „byłby uznany za obłąkanego lub za człowieka o wątpliwej prawomyślności.“ Znakomity metropolita Siemaszko, gdy K. P. Kaufman pochwalił projekt, odrzekł stanowczo: „Plan ten jest wymysłem lekkomyślności nie do darowania!“ Nieboszczyk A. W. Raczinskij, któremu sprawa rosyjska na Litwie zawdzięczała wiele powodzenia, z większą jeszcze stanowczością wystąpił przeciw „lekkomyślnemu planowi“ i stanowczo utrzymywał, te „rozmowy rosyjskie w kościołach polskich nic dobrego nie sprowadzą..“ Plan odpolszczenia miał potężnych znowuż przyjaciół i obrońców. Na czele ich znajdował się sam następca — Murawiowa, a nawet polityki jego — rozumny i uczciwy działacz rosyjski, K. P. Kaufman. Po Kaufmanie nastąpił hr. E. T. Baranow, który także niedługo pozostawał w kraju, był jednak jeszcze żarliwszym obrońcą planu odpolszczenia, osobiście bronił go przed nieboszczykiem cesarzem, a nawet zaczął był wprowadzać do praktyki stosunków rosyjskiej władzy państwowej względem duchowieństwa katolickiego. Gubernia mińska z księżmi: Sęczikowskim, Kopciegowiczem oraz innymi na czele — odpolszczyła się, i po trzech ledwie tygodniach może w 38-u jej kościołach z 52-ch odbywały się już nabożeństwa dodatkowe i kazania w języku rosyjskim. W Wilnie wszakże pomimo taką bliskość i energię autorów projektu, ten ostatni doznał zupełnej porażki i odrazu wyświecił słaby punkt swój, a mianowicie, że, skoro tylko duchowieństwo polskie zechce bronić swego polszczenia, wyśmienicie będzie mogło tego dokonać, nawet nieopuszczając najlegalniejszego gruntu. Projekt ostatecznie pogrzebano za A. L. Potapowa, który go uważał za szkodliwy dla polakow, a opiekować się nimi wszędzie i we wszystkiem — uważał ten niezwyczajny działacz „rosyjski“ za swój obowiązek. Księża polscy srodze nawet wyśmiali i projekt i projektodawców z wysokości katedr swoich kościelnych, ma się rozumieć, bezkarnie. O planie wreszcie orzekła administracya rosyjska, że jest niewykonalny, i złożono go do akt w archiwum, gdzie śpi snem błogosławionych pod warstwą kurzu i zapomnienia.“

Peterb. Wiedomosti opowiadają następującą anegdotę o ks. Bismarku, który ma nosić na palcu pierścionek żelazny z napisem rosyjskim: „niczewo.“

„Książę kanclerz, jak wiadomo, był w roku 1862 posłem niemieckim w Petersburgu. Wysokie jego zdolności dyplomatyczne nic przeszkadzały mu bynajmniej oddawać się w życiu prywatnem pewnym upodobaniom posuniętym aż do namiętności. Takiem upodobaniem, dla ówczesnego p. von Bismarka było myśliwstwo. Polował on zawzięcie i nie pomijał żadnej sprzyjającej okoliczności, która zamiłowaniu temu mogła uczynić zadość. Razu pewnego, a było to w zimie, książe otrzymał zaproszenie na polowanie dworskie, mające się odbywać o sto wiorst od Petersburga. Wyjechał w przeddzień, ażeby w okolicy, obfitującej we wszelkiego rodzaju zwierzynę, użyć przyjemności do syta. Zapał uniósł go wszakże zbytecznie. W pogoni za zwierzem zapuszczał się coraz dalej w nieznane strony, a o zbytecznym zapale przypomniał sobie dopiero wówczas, gdy już zbliżała się pora rozpoczęcia łowów dworskich. Myśliwy znalazł się o jakie dwadzieścia wiorst od miejsca łowów, w małej, na pół zasypanej śniegiem wioszczynie.

Co tu robić?

Książę umiał trochę po rosyjsku, zaczął więc szukać kogoś, ktoby go do miejsca przeznaczenia zawiózł. O parę szkap i szerokie sanie, zwane w miejscowym języku „rozwalniami“ nie było trudno. Myśliwy usiadł w nich, jak mógł najlepiej, a patrząc na drobne szkapy, zwrócił się do woźnicy i rzekł:

— Wszakże to szczury a nie konie?

— To nic (niczewo)—odrzekł woźnica.

Konie ruszyły i popędziły z taką szybkością, iż jadącemu tchu niemal zbrakło.

Hrabia się zdziwił i zagadnął woźnicę:

— Słuchaj no, zamęczysz swe konie?

— To nic—odrzekł znów włościanin.

— Jakże nic, kiedy ci padną na drodze!

— To nic!

Droga prowadziła przez las — droga wązka, pełna korzeni; sanie biły o nie bokami — co chwila groził jadącemu wywrót, a konie pędziły wciąż jak szalone.

— Ależ ty mię wywrócisz — woła książę.

Woźnica zwrócił się trochę, tak, iż mu zaledwie widać było koniec nosa i odpowiada:

— To nic!

I akurat wywraca. Książę wylatuje, uderza się o jakiś pień i rani sobie twarz. Wypadek ten pozbawia go zwykłej krwi zimnej.

Zrywa się, spostrzega jakiś pręt żelazny, stanowiący zapewne część składową sani, chwyta zań i do chłopa:

— Ha, dostaniesz łotrze!

A chłop z najzimniejszą krwią łapie w garść grudę śniegu i dalej wycierać nią twarz Bismarka.

— Co robisz—woła książę.

— To nic—powtarza swoje woźnica i najspokojniej sadowi się na swe miejsce.

Owe niewzruszone „to nic“ zupełnie Bismarka rozbroiło. Zdałem się na łaskę i nie łaskę wiozącego — opowiada on — wsiadłem do sani i wkrótce znalazłem się tam, dokąd dążyłem. Na pamiątkę wszakże tego zdarzenia, zatrzymałem pręt żelazny, a przybywszy do Petersburga, kazałem zeń zrobić pierścień i wyryć na nim: „to nic.“ Odtąd pierścień ten nigdy mię już nie opuszcza, a rosyjskie: „to nic“ stało się dewizą całej mej polityki. Ilekroć walczyłem z wątpliwościami, ilekroć myśl i wola gotowe były ustąpić przed ryzykiem i niebezpieczeństwem, powtarzałem sobie po rosyjsku „to nic“ i zdążałem śmiało do celu.

Zarzucali mi niejednokrotnie moi dobrzy niemcy, iż ustępuję często zbytecznie Rosyi i w mej polityce rosyjskiej nie wykazuję tej stanowczości, jaką mam w każdym innym wypadku. Lecz na te zarzuty zwykle odpowiadam: Panowie: zwróćcie uwagę, iż w Niemczech tylko ja jeden mam zwyczaj mówienia wśród trudnych okoliczności „to nic!“ a w Rosyi mieszka sto milionów ludzi, z których każdy powiada: „to nic“ (niczewo).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Przegląd pedagogiczny, od pewnego czasu starannej redagowany, ukończył sumienny i gruntowny rozbiór *Mapy poglądowej* p. Wójcickiej, napisany przez p. W. Nałkowskiego. Ponieważ wszakże redakcya jest staranną, autor ścisłym, wydawca *Mapy* już od kilku miesięcy nie żyje a samobójstwo jego stało się bardzo głośnem—nie pojmujemy przeto, co znaczą w owym artykule odezwy pod adresem nieboszczyka: „niezmiernie pouczającą rzeczą byłoby, gdyby p. Szafarkiewicz *zechciał ogłosić* finansowy przebieg całego wydawnictwa,“ albo: „Dalej p. Szafarkiewiczowi życzylibyśmy *na przyszłość* mniej pośpiechu.“ Życzeń tych on w żaden sposób spełnić nie może.

Z literatury. Zygmunt Kaczkowski napisał nową powieść historyczną z czasów Sobieskiego p. t. *Abraham Kitaj*.

Plagiat. „Nasz znany“ p. L. Żychliński umieścił w jednodniówce poznańskiej nowelkę p. t. *Kto też tam mieszka*, która—według *Kur. warsz.* —jest tłomaczeniem jednej powiastki Fr. Coppée'go (*Vingt contes nouveaux* str. 130). Tylko zakończenie zmienione nieco.

Prasa polska. W Poznaniu zacznie wychodzić od Nowego roku pod redakcyą dr. W. Łebińskiego pismo, poświęcone wyłącznie sprawom ekonomicznym p. t. *Trud*.

Kalendarz Ungra, wyszedł w zwykłej swej postaci.

Klinika oczna uniwersytecka mieścić się będzie w Instytucie oftalmicznym, ordynatorem jest prof. Wolfring, asystentem dr. J. Przybylski.

Komitet ministrów postanowił, że osoby pochodzenia polskiego nie mogą korzystać z kredytu w banku szlacheckim.

Nauka ćwiczeń wojskowych zaprowadzona będzie, jak donosi *Swiet*, w wyższych klasach wszystkich szkół średnich.

Sprzedaż biletów na występy Patti idzie dobrze, wszystkie loże parterowe i pierwszego piętra już rozkupiono. „Widocznie pewne warstwy publiczności tutejszej mają jeszcze więcej pieniędzy, niż wstydu“— dodaje *Wiek*, z którego czerpiemy tę wiadomość.

Podpisy na 2-gą pożyczkę kanalizacyjną m. Warszawy szły bardzo opieszale, podówczas gdy na 1-szą seryę podpisano 12 razy więcej aniżeli było potrzeba.

Szkoły realne otwarte będą w Zgierzu i Skierniewicach. Pierwsze z tych miast otrzymało już zatwierdzenie władzy pod warunkiem, że mieszkańcy wybudują własnym kosztem dom szkolny i corocznie płacić będą pewną kwotę. Skierniewice pragną mieć szkołę 4 klasową, na utrzymanie której władza żąda dopłaty rocznej 6,000 rs.

Kursy żeńskie w Kijowie zagrożone są zamknięciem dla braku słuchaczek. „Gdyby matematykę wykładano w formie romansu“ ironizuje *Gazeta warszawska*, „może byłoby inaczej.“ Jest to fałsz, bo przyczyną nieliczncgo uczęszczania kobiet jest rozporządzenie, pozwalające słuchać wykładów tylko studentkom miejscowym.

Przeciwnik emancypacyi. W Kiszyniowie jeden z lekarzy pobił p. Blusztejn, kobietę doktora, za to, że otrzymała posadę przy szpitalu, o którą ubiegał się także ów krewki eskulap.

Nowa kopalnia soli. We wsi Kosowicach w pobliżu Wieliczki znaleziono w głębokości 210 metrów obfite pokłady soli.

Skutki wolności. Sądy w Rumelii są nieczynne, bo od 30 września przez cały październik nie popełniono w tym kraju żadnego przestępstwa.

Proces. Graham-Bellowi wynalazcy telefonu wytoczono sprawę o przywłaszczenie cudzej tajemnicy; prawdziwym wynalazcą ma być Filip Reis.

Instytut w Nowej-Aleksandryi liczy w r. b. 256 studentów, z których tylko 20% pochodzi z Królestwa, reszta z gubernij zachodnich i z wnętrza Rosyi.

Mianowania. P. Maryan Baraniecki mianowany został profesorem uniwersytetu jagielońskiego a p. B. Pawlewski politechniki lwowskiej.

Towarzystwo ogrodnicze na ostatniem posiedzeniu w d. 29 października postanowiło starać się u rządu o zaprowadzenie nauki ogrodnictwa w seminaryach duchownych i nauczycielskich. Jest to jeden ze środków rozpowszechnienia hodowli drzew owocowych w kraju.

Sprzeczne wiadomości o schwytaniu Krzeczkowskiego i Grąbczewskiego powtarzają się codziennie z różnemi zmianami w dziennikach. Tymczasem kiedy reporterzy łapią pierwszego z nich w Paryżu a drugiego w Strasburgu, niejaki Heyman t. z. pośrednik filii bankowej w Kaliszu, ukradłszy przeszło 100,000 rs., podążył w ślady swych kolegów z Włocławka.

Jubileusze. Ukazem Najwyższym zabronione zostało urządzanie przez osoby prywatne i korporacye uroczy-

stych obchodów w rocznicę wydania głośnych aktów prawodawczych.

Renan napisał dramat p. t. *Kapłan z Nemi.*

Lekarze wiejscy. Ministeryum spraw wewnętrznych opracowuje projekt utworzenia posad lekarzy wiejskich w Królestwie.

Robotnicy polscy. W Westfalii pracuje około 50,000 polaków, w Alzacyi zaś przeszło 2,000, najmują się przeważnie do robót polnych lub do pracy w kopalniach.

Fałszywy rachunek. *Kuryer warszawski* na podstawie danych statystycznych wykazuje, że włościanie w gubernii mińskiej posiadają 2,019,840 dziesiatyn, na każdego więc z nich wypada 5—6 dziesiatyn" dla włościan b. obywatelskich i 8 d. dla b. rządowych. Rzeczywiście tyle wypada ale... na rodzinę.

Znajomość geografii. *Gazeta lubelska* zrobiła Koreę wyspą a *Kur. war.* wskrzesił Królestwo obojga Sycylii.

Zmarli. Dr. Ungern-Sternberg, z pochodzenia polak pisał wszakże tylko po włosku i niemiecku, znany botanik, prof. uniwersytetu w Turynie.

— K. E. Gliszczyński, generał wojsk pruskich, tłomaczył wiele utworów polskich na język niemiecki oraz napisał w tym języku studyum o Śniadeckich.

— Dr. H. F. Seherk, znany astronom w Bremie.

— Dr. J. Gołębiowski w Kamionce na Podolu, majątek swój zapisał na cele naukowe i dobroczynne.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wikt. Strz. 1) Nie. 2) Wr. 500. 3) O wszystkich książkach nadesłanych do redakcyi naszej umieszczamy krótsze lub dłuższe sprawozdania. Z nienadesłanych nabywamy tylko ważniejsze; na kupowanie całej literatury bieżącej nie starczyłoby środków najzamożniejszemu pismu, a tem mniej skromnie uposażonej *Prawdzie.* Jeżeli ów wydawca objaśnił inaczej, to widocznie na coś potrzebnem mu było kłamstwo. Natomiast my możemy Panu wskazać pisma, które otrzymują nasze nakłady i *z zasady* (są i takie zasady!) o nich milczą.

P. Sk. Owszem, autor nadesłał nam już wyjaśnienie w sprawie powiastek pani Zap., a ona... pozew sądowy. Paradne!

P. Jadwidze M. Jest to wiersz Mickiewicza p. t. „Niepewność," dziwnym kaprysem losu pominięty w t. zw. „najkompletniejszych" wydaniach (lipskiem i paryskim), a pomieszczony w najniezupełniejszem warszawskiem Merzbacha.

Prenumeratorowi w Rydze. 1) nie ma; 2) Schweglera licha, Langego zawiera tylko historyę materyalizmu, teraz zaczęła wychodzić Lewesa; 3) przetłomaczył W. M. Dębicki (Warszawa 1879); 4) wyjdzie.

Czytelnikowi Prawdy. Już teraz nie wiemy, o co Panu chodzi. Oto, że Sl. nie miał „rozumu politycznego?" Niechże i tak będzie; tylko niech Pan nie twierdzi, że my go obdarzamy „chwałą" i pomieszczamy „w rzędzie pierwszych znakomitości XIX w." Wogóle w zarzutach pańskich widzimy za dużo scholastyki i procesowania się o wyrazy.

P. K. Ha. w Petersburgu. Przepisy pocztowe nie pozwalają nam na takie rozdwajanie posyłek. Początkowych zeszytów dodatku już nie posiadamy.

P. Wojc. Stan. S. Nietłomaczona. Odpowiedź nasza na inne pytania byłaby tak obszerną, że musimy Pana odesłać do przewodnika dla samouków, który wkrótce naszym nakładem wyjdzie.

P. Feliksowi B. Dubieckiego.

Ai. Wundta i Ueberwega.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Bezimiennie rs. 15, K. P. rs. 3.

Na wpis dla biednych uczniów. (Pamięci Maryi Bartusówny): Studenci, St. rs. 1, Pa. kop. 25, Wr. 25, Bo. 15, Ko 30, Bu. 50, Ha. 25, Ry. 30, ogół rs. 3.

Ogłoszenia.

BOLESŁAWA PRUSA
(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

wyjdą z druku w kwartale bieżącym staraniem **Spółki Nakładowej.**

Będzie to prawie zupełny zbiór rozrzuconych po pismach utworów tego znakomitego pisarza.

Prenumerata na całe dzieło, którego cena po wyjściu podniesioną będzie, wynosi **rubli trzy**, na tomy pojedyncze **kop. 80.** Wnoszący prenumeratę za **całe** dzieło **kosztów przesyłki nie ponoszą**, każdy zaś tom pojedynczy z przesyłką **rs. 1.**

Tom I opuści prasę w połowie listopada r. b.

Prenumerować można w biurze i ekspedycyi SPÓŁKI NAKŁADOWEJ: **Zielna 7-A.**

ZŁOTY MEDAL! ZŁOTY MEDAL! ZŁOTY MEDAL! ZŁOTY MEDAL!

WIELKI ATLAS ZOOLOGII BOTANIKI i MINERALOGII
Prof. D-ra HAYEKA
1361 fig. kolorowanych,
Do nabycia po 60 kop. za zeszyt.
Prasę opuścił zeszyt IV-ty.
Warszawa — Wydawca
H. Olawski.

Do nabycia w znaczniejszych księgarniach:
Decadence de la Papauté, cena kop. 60
Cywilizacya i Żydzi, kop. 15
Szkice z wędrówki po ziemiach słowiańskich, kop. 30
ST. CZARNOWSKIEGO.
Skład główny przy ulicy Marszałkowskiej nr. 20.

SPÓŁKA NAKŁADOWA
zawiadamia, iż dzieło dr. Piotra Chmielowskiego

Autorki Polskie wieku XIX

studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, wyszło z druku i jest do nabycia w Administracyi Spółki Nakładowej (**Zielna 7-A.**) po **rs. 2 kop. 50.**

J. Brandes
Główne prądy literatury XIX-go wieku.
Tom I, II i III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2. Całe dzieło rs. 6 (z przesyłką pocztową).

Nakładem Prawdy
wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

SPÓŁKA NAKŁADOWA
poleca następujące wydawnictwa swoje:
Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.
Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.
Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście rs. 1 kop. 80
Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.
Nabywający dzieła powyższe w kantorze **Spółki (Zielna 7-A)** kosztów przesyłki nie ponoszą.

Na Wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły nowe obrazy: Jana *Styki*: Chrystus rozdający chleb rzeszy, Głowa Matki Boskiej. Al. *Gierymskiego*: Rybaki. J. *Ryszkiewicza*: Cyganka, Niedola, W szkodzie. P. *Szyndlera*: Mulat, Odwiedziny. St. *Masłowskiego:* Typy z okolic Łowicza, Prządka, Do kościoła. Wł. *Marcinkowskiego*: Portret mężczyzny. M. *Ursyna Niemcewicza*: Widok morski. F. *Pszorna*: Krajobraz. Fr. *Wastkowskiego:* Las. Jana *Rosena*: Baczność. Fr. *Żmurki*: Z wybrzeża. Ad. *Strobla*: Portret damy. B. *Łaszczyńskiego*: Włoska. F. *Cichockiego*: Zakonnica, Egzamin z pacierza, Zamek, S-ta Rodzina. W. *Piechowskiego*: Goście w zaścianku szlacheckim. C. *Dylczyńskiego*: Zhołdowany. St. *Roztworowskiego*: Tannhaüser i Wenus, Natura i Sztuka, Portret mężczyzny. S. *Bieszczady*: Dworek, Kopiec Kościuszki, Chałupa. W. *Gersona*: Typ dziewicy (rysunek). P. *Stachiewicza*: Typ dziewicy (rysunek). M. *Trębacza*: Przy winku. E. *Perlégo*: Narainy. J. *Maszyńskiego*: Tęskniąca, Polne kwiaty. K. *Mireckiego*: Dziewczę, Portret autora. J. *Eismonda*: Tyrallery, Na przedmieściu. J. *Maleszewskiego*: Mamusia, Portret damy. J. *Brodowskiego*: Mohort wjeżdżający do klasztoru. R. *Thierbacha*: Młyn pod lasem. F. *Kostrzewskiego*: Kapitał i praca. T. *Dowgirda*: Wieczór. T. *Zaleskiego*: Zagroda. Jana *Kauzika*: Czerkies. Juljusza *Kossaka*: Morsztyn pod Chocimem. A. *Gramatyki*: Po powodzi. J. *Kornbecka*: Kromy, Krajobraz wiosenny. A. *Grodigianiego*: Portret damy. Al. *Schouppego*: Góra Giewont w Tatrach. *Falińskiego:* Owoce, Kwiaty, Palma, Oaza, Zboże, Wybrzeże, Miasto nadbrzeżne, Zarośla, Okolica górska. J. *Owidzkiego*: W ogrodzie. W. *Waszkiego*: W ogrodzie. J. *Popiela*: Żyd. N. *Pané*: Sorrento, Rzeźby. L. *Pyrowicza*: Portret. Ł. *Chudzińskiego*: Gospodyni. L. *Kucharzewskiego*: Stacye Męki Pańskiej. J. *Woydygi*: Papiernie. H. *Marczewskiego*: Portret Matejki, Portret Odyńca, Pastuch.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych na drugiem tegorocznem posiedzeniu zakupowem wybrał do nabycia dla rozlosowania pomiędzy Członków Towarzystwa następujące dzieła sztuki, znajdujące się na Wystawie: Obrazy J. Ursyna Niemcewicza „Widok morski," Fr. Ejsmonda „Walka o byt," Stachiewicza „Z dawnej przeszłości," Ryszkiewicza „Cygan," tegoż „Niedola," Brzozowskiego „Wodospad," Szyndlera „Głowa mędrca," Fabjańskiego „Kościół Bożego Ciała," Wywiórskiego „Przy ognisku," Grocholskiego „Żydzi," St. Jasieńskiego „W jesieni," Kauzika „Pociecha Babuni," Łosia „Zima," Streitta „Cyganie," Wastkowskiego „Las w zimie," Pszorna „Krajobraz," Rosena „Baczność," Kurelli „Na przewozie," Brochockiego „Zachód słońca," Zofii Stankiewicz „Dziewczynka," Gersona „Mieszczanka Krakowska," Rzeźby: Kucharzewskiego „Kopernik," Wojdygi „Jaś," Marczewskiego „Rozrywka pastucha." Nadto nabytą została do zbiorów Towarzystwa akwarella Juljusza Kossaka „Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-Bejem." Trzeci i ostatni tegoroczny zakup dzieł sztuki do rozlosowania pomiędzy Członków Towarzystwa odbędzie się w m. grudniu.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocz' zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Октября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.